Nr. 1. Poznań, Niedziela 6-go Stycznia 1901 r. Rok V.




*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 47 hal.*
*Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.*
*Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.*

# Na Jubileusz przezacnego Józefa Chociszewskiego.

O Wielkopolsko! Tyś błogosławiona,
Ciebie od wieków umiłował Bóg,
Kazał Ci niańczyć Lechickie plemiona,
Torować dla nich pasmo przyszłych dróg.

Fale jeziora głośno zakipiały,
Lud się gromadzi z pod słomianych strzech,
Od lasu, orszak nadciąga wspaniały,
Z drużyną staje ponad Gopłem — Lech.

Bystrą źrenicą zatoczy do koła:
„Tu ja zbuduję mój warowny gród,"
Potężnym głosem na druhy zawoła,
Do wielkiej pracy powołuje lud.

Wiosna odziewa dąbrowę w liść świeży,
W pośród drzew olbrzym zagrzebany w głąb,
Podnosi głowę u Gopła wybrzeży,
Mchem opowity trzywiekowy dąb.

„Olbrzymie puszczy, długieś przetrwał lata,
Wiatr Cię nie zwalił — nie roztrzaskał grom,
Świeża jemioła w koło Cię oplata,
Na Twych posadach zbuduję mój dom.

„Jak Ty! — on będzie bezpieczny i trwały,
Jak Ty! przemoże prądy setnych lat,
Nie potyrany groźnemi nawały,
Nie schyli czoła i zadziwi świat."

I Lech pochwyca za żelazny topór,
Wali w konary, co obrosły pień,
Wtem jakiś twardy napotyka opór,
Po czole wodza przebiegł groźny cień.

Wali toporem, raz, drugi i trzeci,
Nie drgną konary — nadaremny trud,
Rwie się do wodza wielka chmara kmieci,
Czego on nie mógł — czyż dokona lud?

Wreszcie raz czwarty z wysiłkiem uderza,
Huk się rozlega, drży jeziora brzeg,
I nagle przemknął nad głową rycerza,
Z wielkiemi skrzydły ptak biały jak śnieg. —

I błysło gniazdo przyparte do skały,
Na nim to Lechu masz oprzeć ród Twój,
Na nim zbudujesz Twój dworzec wspaniały,
W gnieździe świergoce białych orląt rój. —

Lech ściga okiem lot bystrej orlicy. —
„Druhy — zawoła — ten cudowny ptak



Będzie na wieki godłem mej stolicy,
To chwały naszej wiekopomny znak."

Pod nim przebiegną naszych synów dzieci,
Dalekie lądy i krawędzie gór,
Chwała ich słońcem nad ziemią zaświeci,
Bodźcem ich będzie szelest orlich piór. —

Wody jeziora proroczo zabrzmiały,
Dzielnie im wtórzy echo orlich gniazd:
Gdy Cię zabraknie, nasz Lechu wspaniały,
Wtedy Cię godnie zastąpi nasz Piast. —

Piast — w Wielkopolskiej zrodzony Kruszwicy —
Szczodrze w swej barci przysposobi miód —
I długo chrobrzy, jego plemiennicy,
Będą tym miodem Polski karmić lud.

„I chwałę Polski roznosząc daleko,
I w kraju Boży zaprowadzą ład,
Pod ich ramieniem i pod ich opieką,
Plemię Lechitów uczci wszystek świat." —

„Ubiegną wieki i wszystko się zmieni,
W grobie ostatni złoży głowę Piast,
Z morza do morza na wielkiej przestrzeni,
Obcy na łanach rozrodzi się chwast." —

O Wielkopolsko! Tyś błogosławiona,
Ciebie od wieków umiłował Bóg —
Ty z prochu dźwigniesz upadłe plemiona,
Wskażesz gdzie mają prostych szukać dróg.

Ty dajesz Polsce grono dzielnych ludzi,
Skorych do ofiar, gotowych na trud,
Ich przykład wesprze, ich słowo rozbudzi,
I przysposobi odrodzenia cud.

Tyś mężu pierwszy — z tych wybranych grona,
Słusznie Twe imię cały naród czci —
Dzięki Twej pracy, Polska przygnębiona,
Zobaczy przedświt pogodniejszych dni.

Tyś przepojony czarą piołunową,
Podjął do ręki starych Piastów pług —
Posiewasz skrzętnie dobroczynne słowo
I Twojej pracy błogosławi Bóg.

Skarb dawnych podań — cenniejszy nad złoto,
Tyś umiał w wątek naszych dziadów wpleść —
Tobie należy, wielki patryoto,
Wdzięczność narodu — i serdeczna cześć. —

Paryż, dnia 16 grudnia 1900 r.

*Seweryna Duchińska.*

# Józefowi Chociszewskiemu.

*„Niech każdy składa talent swój Ojczyźnie, jako dar w skarbonę, tajemnie i nie mówiąc wiele złożył. Przyjdzie czas, że się skarbona napełni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył.“*

Przychodzą na świat jedni, wybrańcy losu z talentem o brzasku płomienistym zorzy, rzucającym się wszystkim w oczy, wzbudzający podziw u wszystkich; przychodzą inni, których talent nie ma oślepiającego blasku, nie ma tęczowych kolorów, ale ma ciepła i światła w sobie dużo i w działaniu swem niemniej od tamtego może być zbawiennym i błogosławionym.

Nie sam talent, choćby jaknajwiększy zyskuje sobie zasługę i prawo do wdzięczności, ale sposób zużycia go. Ten tylko jest prawdziwie obywatelem i zasłużył sobie, by wdzięczne serca narodu doń się garnęły, kto talent swój i zdolność oddał narodowi swemu i wedle sił swych wiernie i szczerze jemu służył „tajemnie i nie mówiąc wiele złożył.“

Czcigodny Jubilacie! Takiego to męża o rzetelnym a dobrze zużytym dla narodu talencie, o cichej, niestrudzonej, a poświęcenia pełnej pracy, o bogatej w dobre owoce działalności uczcić nam dzisiaj w Tobie przychodzi.

Czynimy to nie po to, by zadość uczynić przyjętej formie, każącej obchodzić jubileusze mężów stojących wśród narodu na wyżynie, ale by zadość uczynić potrzebie i obowiązkom serca, by choć w części spłacić idealny dług, jaki wdzięczny naród u Ciebie zaciągnął.

Życie Józefa Chociszewskiego związane jest jaknajściślej z dziejami życia umysłowego naszej Wielkopolskiej dzielnicy, a nawet Polski całej, tak jak nazwisko jego dzisiaj w całej Polsce już znane, chociaż działalność jego głównie w Wielkopolsce sięześrodkowywała.

Na dowód żywotności swej we Wielkopolsce, na dowód lepszej naszej przyszłości i prawa do niej przytaczamy zawsze i przytaczać mamy prawo fakt jeden: rozbudzenie i uspołecznienie naszego ludu. Wiadoma rzecz, że lud u nas pod względem umysłowym, pod względem obywatelskiego poczucia wyżej stoi, niż w którejkolwiek z dzielnic Polski.

Otóż powiedzieć możemy bez przesady: ten wysoki stosunkowo rozwój ludu naszego i mieszczaństwa jest w części zasługą Chociszewskiego i jego dziełem. On stworzył niejako u nas literaturę ludową, dał jej początek i wpłynął na jej rozwój. Niezliczony jest szereg jego książek, dzieł i wydawnictw, które coraz więcej zdobywały sobie przystęp u ludu. Wiadomości z historyi polskiej i literatury wśród naszego ludu pochodzą przeważnie z wydawnictw Chociszewskiego i z jego książek czerpią dzieci nasze pierwsze wiadomości swe o Polsce, przy jego książkach może niejedno raz pierwszy poczuło się być Polakiem i zostało nim na całe życie. Piszący słowa niniejsze sam bez ogródek z wdzięcznością wyznaje, że wiele, bardzo wiele zawdzięcza Józefowi Chociszewskiemu, bo tegoż to autora Historya Polska i Dzieje Piśmiennictwa pierwsze były, które jako dziecko wziął do ręki i z nich zaspakajał pierwsze swe wiedzy pragnienie.

Chociszewski był jednym z tych „żywych“ u nas, którzy nie stracili nadziei i przed narodem nieśli oświaty kaganiec. On to wziął sobie te słowa Juliusza Słowackiego za hasło życia swego i ze słów czyn, ciało uczynił.

Chociszewski był i jest tem ogniwem pośredniem między wielkimi naszymi bohaterami myśli, duchowymi naszymi przywódzcami, a między narodem i ludem samym. Za jego głównie pośrednictwem myśli i dzieła naszych wieszczów rozeszły się między lud i siały wśród niego miłość wszystkiego co polskie, co piękne i szlachetne. Jego własna osobistość szła przytem nieraz w zapomnienie, ale tem większa jest jego zasługa, bo działał z poświęceniem, dla sprawy samej, nie dla imienia własnego. Skutki zaś zbożnej jego pracy są niezmierzone i wieczne będą w dalszem swem działaniu.

„Przetoż i zasługa głęboko schowana, pokaże się sławnie; a kto ją tak schowa, że się na tym świecie nigdy nie pokaże, tedy ukaże się we wieczności i huk jej będzie nieskończony i blask jej nigdy nie gasnący, i skutek jej na wieki.“

Za to, żeś naród, a przedewszystkiem tych maluczkich wśród niego ukochał, żeś ich krzepił duchowo, uszlachetniał i podnosił, żeś życie całe spędził na wiernej a twardej służbie, żeś cierpiał dla narodu duchem i ciałem, za to wdzięczni rodacy obchodzą Twój jubileusz, Cny Mężu!

Z nimi jednoczy się pismo nasze, które za przykładem Twym to samo wzięło sobie za zadanie, a dzisiaj ku czci i chwale Twej wdzięczne słowa niniejsze u stóp Twych składa.

*Redakcya „Pracy.“*

# „Kochajmy się!“

Oto już za nami leży ten miły, serdeczny, pełen uczuć przyjaznych i towarzyskości tydzień świąteczny. Każdy z nas w ciągu tych kilkunastu dni zetknął się z kółkiem przyjaciół i znajomych i spędził niejedną zapewne godzinę na miłej pogawędce, wśród której ożywił swe serce przypomnieniami czasów ubiegłych, — czasów jakiejś wspólnie przebytej z przyjaciółmi przełomowej chwili życia.

Czy jest co milszego od takiej przyjacielskiej pogadanki, wśród której odrzuca się precz na bok skorupę codziennej obojętności i skrytości, — gdzie każdy jest sobą, w pełnej otwartości i szczerości okazuje swe serce, spowiada się ze swych wrażeń i zamiarów! Każda taka chwila ma jakąś siłę ożywczą, działa na zmęczoną duszę jak nektar orzeźwiający i napełnia ufnością w ludzi.

Życzyć by tylko należało, aby ten ożywczy wpływ, zbliżający ludzi do ludzi, działał na dalszą metę i silniejszy był od wrażeń codziennego życia, które oziębiająco działa na serce i zmraża swym egoistycznym powiewem najszlachetniejsze uczucia serca.

My, Polacy, mamy to już poniekąd w tradycyi naszego narodu, że obchodzimy te święta ubiegłe jako święto wewnętrznego społecznego zbratania się. I wątpić trzeba, czy z czytających te słowa znajdzie się ktoś, coby przyznać nie musiał, że z okazyi ubiegłych świąt spotkał się w jednem towarzystwie, lub siedział po przyjacielsku za jednym stołem z ludźmi innej towarzyskiej i społecznej pozycyi, aby nie trącał się kieliszkiem, przyjmując lub wyrażając życzenia, — z ludźmi do innej klasy należącymi, w innym zakresie pracy społecznej pracującymi.

Jest to fakt bardzo pożądany i bardzo doniosły. Nas przodkowie dalej jeszcze szli pod tym względem: bo starodawnym obyczajem przy wspólnym stole wigilijnym zasiadała wraz z państwem i służba, a tak stawały się te święta — świętem zbratania się społecznego rozmaitych warstw narodu.

Gdyby głębiej była wniknęła w nasze społeczeństwo ta podniosła myśl w tej obyczajowej formie zawarta, zapewneby nasze społeczeństwo nie stanęło nigdy nad krawędzią przepaści...

Tradycye, powiązane ze świętem Gwiazdki, przekazują dzisiejszemu pokoleniu — obok tego ogólnego tła zbratania się wszystkich warstw społecznych — dobitniejszą jeszcze jego formę: ten staropolski, zacny, prosty a głęboki toast, którym zwykliśmy kończyć wymianę życzeń wznoszonych przy wspólnej biesiadzie — toast: *Kochajmy się!*

Ale trzeba rozumieć dobrze ten toast staropolski, w którym zawiera się tradycyjna nauka pokoleń minionych.

My Polacy mamy we krwi już usposobienie do pobieżnego i powierzchownego traktowania przedmiotu, dlatego też i w rzeczach najważniejszych niejednokrotnie zadawalamy się błahą formą, dźwiękiem pięknie brzmiących słów, potokiem, kaskadą frazesów, — tam gdzie czynów potrzeba.

To właśnie jest wadą polskiego charakteru na polu pracy narodowej. Wszak niedawno na całym obszarze ziem Polski wznoszono ten okrzyk tradycyjny „Kochajmy się!“ a czy istotnie choć w setnej części pojęto i uprzytomniono sobie jego treść zasadniczą, bez której staje się pustem echem bez słów?

To staropolskie, tradycyjnym obyczajem uświęcone „Kochajmy się“ znaczy coś więcej, niż wzajemne oślinianie się wśród brzęku kieliszków. Ono znaczy stosownie do potrzeb dzisiajszego naszego położenia, że nietylko w tem świątecznem usposobieniu, nietylko wśród powodzi frazesów i górnobrzmiących haseł kochać się wszyscy mamy — ale mamy sobie dawać wszyscy dowody tej miłości wśród szarego powszedniego życia, gdy twarda rzeczywistość świąteczny nastrój w nas mąci i niejedne barki brzemieniem zmartwień przygniecie!

Wtedy się kochajmy! — nietylko przy hucznych toastach, nietylko przy brzęku kieliszka, — ale wśród wiru codziennej walki o byt.

A dalej — znaczy ten toast *kochajmy się,* że powinny się zbratać i ku dobru wspólnej sprawy wspólnie pracować wszystkie warstwy społeczne. Niech zniknie przedział klas i stanów różnica! Kochajmy się wszyscy — obywatelstwo ziemskie i rzemieślnicy, inteligencya i robotnicy, kupcy i drobni ziemianie — kochajmy się nietylko w słowach, w toastach, we frazesach, ale w czynie, w pracy nad odrodzeniem naszego narodu, nad odrodzeniem naszej Ojczyzny, wobec nieszczęść której niema wśród nas biednych lub bogatych, panów lub chłopów, *bo wszyscy jesteśmy jednakowo wydziedziczeni i odarci z wspólnej ojcowizny.*

A dalej niechaj oznacza ten toast *„kochajmy się!“* nietylko zbratanie się warstw społecznych narodu, ale i zbratanie się rozdzielonych pochodzeniem z rozdartych zdradziecko przez wrogów pojedyńczych prowincyi naszej Ojczyzny.

Tego zbratania się potrzeba nam dziś bardziej niż kiedykolwiek. Sztuczne lody, wytworzone przez rządy zaborcze pomiędzy Poznańczykiem — Królewiakiem — Galicyaninem prysnąć powinny wobec silnej i stałej woli naszej ku zbrataniu się. Pamiętajmy, że jeśliśmy w ciężkim trudzie i z niemałą pracą zdołali przetrwać cały ubiegły wiek XIX nie uroniwszy nic z naszych narodowych praw, to w rozpoczętym dziś wieku dwudziestym kto wie, jak ciężkie i długotrwałe nas burze czekają, wobec których jedyną opoką nam będzie, jeśli potrafimy starać się o wytworzenie łączności między mieszkańcami trzech dzielnic Polski, dziećmi jednej matki, zdradziecko przegrodzonemi szeregiem słupów granicznych.

A więc kochajmy się! Niech, wedle słów psalmisty, „mędrszą będzie miłość nasza!“ niech nie będzie ona ślepą. Niech każda klasa społeczna, każda prowincya otwarcie wywnętrza swe żale, niech z zaufaniem spieszy na wspólny wiec duchów, niech otwarcie stawia zarzuty, lecz zawsze z wiarą *w dobrą wolę* drugiej strony. Oprzyjmy miłość naszą na wzajemnym szacunku, na zrozumieniu się, na usprawiedliwionej krytyce.

A gdy pamiętać będziemy o zbrataniu się trzech dzielnic Polski: Królestwa, Poznańskiego i Galicyi, — nie zapominajmy i o *czwartej dzielnicy Polski,* o tej dzielnicy, która parę milionów serc gorąco dla Polski bijących kryje — o naszej emigracyi. Niech iskra miłości bratniej opasze kołem świat cały i trafi do serca każdego Polaka i echo w niem gorące zbudzi: „kochajmy się!“

*Vester.*

# Obieżysasi.

Obieżysasów właściwie trudno zaliczyć do emigracyi stałej, bo to robotnicy sezonowi, którzy udają się na Zachód, aby w okolicach, gdzie przeważnie kwitnie uprawa buraków, bawić przez cały czas kampanii buraczanej dla zarobku.

Późną jesienią obieżysasi wracają do kraju, lecz duży ich zastęp zostaje na stałe na obczyźnie i powiększa szeregi emigracyi zarobkującej.

Wzrost tego rodzaju wychodźtwa datuje się od czasu silnego rozwoju uprawy buraczanej w zachodnich prowincyach Prus: Hanoweru, Brunświku, Saksonii i Meklemburga.

Obieżysasi wychodzą zazwyczaj całemi partyami. Specyalne biura stręczeń pośredniczą w zawarciu kontraktu pomiędzy kompaniami obieżysasów a pracodawcą, Niemcem. Biura te utrzymują swoich agentów i naganiaczów, którzy werbują lud w prowincyach polskich. Wielcy agenci, trudniący się dostawą robotników z Księstwa

dla rolników niemieckich, tworzą pomiędzy sobą okręgi i żaden z nich nie zapuszcza się do okręgu swego kolegi. W werbowaniu robotników posługują się oni zazwyczaj dawniejszymi wychodźcami. Gdy grunt już przez zaufane osoby agenta dostatecznie przygotowany, przybywa sam pośrednik w celu spisania z ludźmi kontraktu. Scena ta odbywa się w gospodzie przy sutym traktamencie. Zwyczajowe punkta kontraktu o liczbie godzin roboczych, długości dnia roboczego, o mycie, o zachowaniu się robotnika względem pana bywają przyjmowane w milczeniu.

Lecz jest to tylko cisza przed burzą, bo ledwo agent rozpoczął odczytywać ustęp, w którym wyrażoną jest wysokość płacy, burza się zrywa: „Za taką płacę nie pójdziemy na robotę. Tam i tam płacono jeszcze raz tyle. Wolę leżeć w domu, niż dla takiej marnizny tłuc się po świecie. Przy takiej płacy nikt na życie nawet nie zarobi.“

Takie głosy podnoszą się zewsząd. Agent spokojnie czeka, aż pierwsze oburzenie minie i wtedy rozwija swą zręczność. Przypomina, że sam był kiedyś robotnikiem, że wie, co to znaczy pracować przy lichej płacy na marny kawałek chleba, z drugiej jednak strony umie też ocenić, że przy płacy przez niego ofiarowanej, może każdy dobrze obstać. — Przemową tą zyskuje agent ucho słuchaczy.

Nic tak nie wpływa przekonywająco na lud, jak zapewnienie, że było się w takiem samem położeniu, jak słuchający ludek. Agent, spostrzegłszy, że przemowa nie mija bez skutku, zwraca się do robotnika lub robotnicy, znanych jako ludzi rozważnych. Oni mają powiedzieć, jakie przy proponowanej przez agenta płacy mieli zarobki, czy to przy obróbce buraka, czy to przy kośbie zboża, czy przy wybieraniu okopowizn. „Niechaj powiedzą, ile ta kobieta, oddana na akord, im przynosiła.“ — Ale — być może wołają inni — ale może ziemia będzie piaszczysta, może jaki sap, w którym po kolana się zapada, a może ona pod wpływem suszy w opokę się zamieni!“ — Takie i tym podobne uwagi padają z ust robotników. Teraz agenta rzeczą wystawić stosunki wsi lub okolicy, dla której zbiera robotnika, w jak najlepszem świetle. Jeżeli wśród zgromadzonych znajdzie się choćby jeden znający okolicę i jeżeli warunki robocze tej okolicy są jakie takie, agent wygrał. Zwraca się więc agent do robotnika, znającego okolicę, przez agenta zachwalaną — ów robotnik znalazł się może wypadkiem wśród zgromadzonych, ale często bywa umyślnie sprowadzany — i zapytuje się, czy nie mówił prawdy, zachwalając ową wieś i okolicę. Niechaj powiedzą, gdzie mieli takie wysokie zarobki? Krzykacze chwalą się oczywiście bajecznemi zarobkami, ale wywołują tylko niedowierzanie wśród swoich — i wtedy agent odnosi tryumf zupełny. Skoro tylko jeden zdecydował się na podpisanie kontraktu i inni idą za jego przykładem.

Wielu mniejszych agentów wyszło z szeregu obieżysasów. Pracowali oni dawniej w wioskach w Saksonii, stali się „przewodnikami“ — a poznawszy stosunki zajmują się łowieniem robotnika, przyczem zarabiają niemało grosza. Agenci, którzy mają własne biuro, zarabiają na werbunku robotnika tysiące talarów. Znajdują się pomiędzy nimi tacy, którzy albo oszukują robotnika, albo chlebodawcę. Często się też zdarza, że agenci ludkowi polskiemu, nie rozumiejącemu po niemiecku, przyobiecują wyższe płace, niż w kontrakcie wyrażono. Ludziom mało doświadczonym pokazują arkusze z urzędowemi stemplami, aby wzbudzić w nich przekonanie, że władze gwarantują za wypłatę myta i t. p.

Ulubionym argumentem agentów obieżysasów jest wskazywanie chłopakom i dziewkom na dostatek, w jaki opływają obieżysasi. „A cóż, odzywa się agent, nie pójdziesz na wiosnę do Saksonii? Nie chcesz się ubrać w takie suknie, jak sobie przywiozła Kaśka lub Maryna? Nie chcesz się trochę po świecie rozejrzeć?“

Do miejscowości, które już kiedyś dostarczyły agentom wychodźców zazwyczaj nie udaje się on sam, lecz przez miejscowe, obznajmione z pracą w Saksonii dziewki, namawia do podpisywania kontraktów.

Główny agent otrzymuje zazwyczaj 3 mrk. od głowy, z czego swym subagentom, *recte* „naganiaczom“ płaci po 1 mrk.

Zazwyczaj pierwszego kwietnia rozpoczyna się wędrówka na Zachód. Olbrzymie wozy obładowane tłomoczkami podążają do najbliższego dworca kolejowego. Tu czeka agent, kupuje bilety czwartej klasy i pilnie strzeże swej gromadki, aby ją w całości odstawić do koszar w Saksonii lub Hanowerze.

Koszta transportu, skierowanego zazwyczaj na Lipsk, Drezno lub Hala-Berlin, opłaca sprowadzający właściciel ziemski lub też godzi się z agentem z góry obliczając koszta dostawy na 10—14 mrk. od głowy. Koszta te zostają potem potrącone z zarobku wędrowców.

Jak w osiemdziesiątych latach koleje przepełnione były emigrantami, dążącymi do Bremy i Hamburga, aby ztamtąd wyjechać do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, tak teraz na wiosnę wywożą koleje na Zachód tysiące robotników z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, z Górnego Śląska, Prus Zachodnich i t. d. Kto w wiosennej porze odbywa podróż koleją po wschodnich dzielnicach, spotyka nieraz na dworcu tłumy wychodźców, czekających długie godziny na pociągi. Poczekalnie nie mogą pomieścić tych tłumów, czekają one na peronach i korytarzach dworca, na przejściach i placach przeddworcowych. Zdaje się, że początkowo wychodźtwo bawi tych ludzi. Wyszedłszy z ci-

ckych wiosek, spotykają rzeczy dotąd niewidziane, spotykają znajomych i krewnych, rozgadują się z sobą o doli i niedoli.

Przodownicy, agenci lub mężowie zaufania wielkich agentów prowadzą partye swoje od stacyi wyjazdu aż do stacyi pobytu. Na stacyach czekają drabiniaste wozy, które przewożą ludzi do wsi, do której się zgodzili. Następuje na razie dzień spoczynku. Początkowo ludek roboczy niebardzo zadowolony barakami, w których go mieszczą. W niektórych wsiach jeszcze dziś bardzo niewygodne dla wychodźców jest pomieszczenie. Obecnie pobudowano w wielu wsiach koszary dla wychodźców, osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet, ale nie wszędzie.

Obieżysasi z Królestwa jadą zazwyczaj przez Kohlfurt i Zgorzelice. W sezonie widzieć można np. w Zgorzelicach codziennie prawie przejeżdżające partye po 50 osób. Wędrówka dochodzi do największych rozmiarów po Wielkiej Nocy. W Zgorzelicach napatrzeć się można obieżysasów do syta, zazwyczaj bowiem mają długie postoje. Przyjeżdżają oni zwykle pociągiem o 6-tej po południu i muszą czekać aż do 8-mej dnia następnego, bo w innych, nocnych pociągach czwarta klasa nie chodzi.

Kto zaś w sobotę przyjedzie, czekać musi do poniedziałku, bo w Saksonii w niedzielę czwarta klasa nie kursuje. Powszechnie się skarżą, że na dworcach na stacyach krzyżowych niema odpowiedniego pomieszczenia. Tak np. w Kohlfurcie całe setki nieraz muszą na chłodzie po kilka godzin czekać na peronie.

Zarobek obieżysasów jest stosunkowo dość znaczny, jeśli się porówna ze skalą zarobkową w kraju.

Dzień roboczy trwa od 5 rano do 7-ej wieczorem, z półgodzinną przerwą na śniadanie, godzinną na obiad i półgodzinną na podwieczorek. W razie potrzeby przedłużenia godzin pracy, dodatkowa płaca wynosi 10—15 fen. od godziny dla mężczyzn, a 9—10 fen. dla kobiet. Zwykła zaś płaca wynosi 1,50 mk. u mężczyzn, a 1 mk. u kobiet, prócz wolnego mieszkania i tygodniowo 16—20 funtów kartofli. W czasie żniw płaca podnosi się do 2 mk. dziennie.

Jeden z korespondentów z Saksonii, obliczając rezultat pieniężny tych 30 tygodni ciężkiej pracy, pisze, że dziewczyna zarabia 200 do 300 mk., mężczyzna 300—360 mk. Odtrąciwszy od tego koszta podróży, kasy, straty odzieży — pozostaje kilkadziesiąt marek zaoszczędzonych w pełnem tego słowa znaczeniu na jedzeniu. Oszczędności te zmniejszają się zwykle tembardziej, że po niektórych dominiach są sklepiki wydające „na książkę“ towar; tu gruby procent spływa do kieszeni przedsiębiorcy.

W specyalnych koszarach dla obieżysasów znajdujemy zazwyczaj oddzielne pomieszczenie dla kobiet a oddzielne dla mężczyzn. Przedzielone są one kuchnią lub spiżarnią i mieszkaniem dozorcy.

W Saksonii zazwyczaj są łóżka żelazne, w Hanowerze i Brunświku drewniane, w niektórych koszarach poustawiane jedne nad drugiemi, w kilka pięter, jak w okrętowych kajutach.

Lecz są miejscowości, gdzie wogóle łóżek niema, a całe posłanie stanowi słoma na poddaszach. Rozdzielenie płci istnieje tylko w teoryi... Dozorca sam zazwyczaj jest pierwszym, który tego punktu przepisów nie przestrzega. W większości wypadków dozorca utrzymuje sklepik.

*Dr. Kazimierz Rakowski.*

# Wiec w Kartuzach.

W Kartuzach, w Zachodnich Prusach, odbył się w świątecznym tygodniu okazały wiec, który jest imponującą demonstracyą ze strony ludu polskiego, zamieszkałego w tamtych stronach.

Ludność tamtejsza, przeważnie kaszubska, ożywiona serdecznem przywiązaniem do kraju i polskiego pnia macierzystego, zebrała się tłumnie, aby dać niejako dowód, jak bardzo się czuje polską, — a zarazem odpowiedź pod adresem rządu pruskiego za te liczne, choć dotychczas bezskuteczne próby uważania Kaszubów za coś innego niż za Polaków.

Na wiec zebrało się przeszło 1500 osób. Obecny był poseł tamtejszy p. Janta Połczyński. Przewodniczył zacny i zasłużony nasz kapłan ks. Szotowski z Chmielna. Przemówienie księdza Szotowskiego w ważniejszych przynajmniej punktach przytoczyć musimy.

Przedewszystkiem poruszył mówca sprawę stosunku księży do ludu i powiedział:

„Dziękujecie, żem przybył. No, nie ma za co dziękować. Wszak gdzie owce, tam i pasterz. Czy mamy wam się pokazać tylko w kościele, a potem iść swoją drogą? Nie może być rzeczą księdza przemówić z ambony, a potem powiedzieć: za tydzień przyjdźcie znowu na kazanie, — lecz obowiązkiem jego jest pozostać z trzodą i po za kościołem. Przecież my nie najemniki, aby służyć za grosz i pańską łaskę. Nie słyszałem jeszcze nigdy, aby pasterz wskazał owcom drogę na pastwisko, a powiedziawszy: idźcie, napaście się, potem powróćcie, sam poszedł dalej. — Podobnież nie może pasterz parafii na kazaniu ludowi tylko drogę pokazać; chcąc spełnić swój obowiązek, trzymać się powinien powierzonych jego pieczy owieczek i po za kościołem; a ponieważ przyszliście tu po strawę duchową, powinien wam takową i tu podawać. — Szkoda księdzu czasu na obce towarzystwa, jak szkoda drogiego olejku na buty. Zresztą sądzę, iż kapłanowi najmilej wśród swoich.

„Słychać żale, że odciągają księży od ludu, a przyciągają ich ku sobie. W pierwszym rzędzie ksiądz ma prawo do swej trzody, a czas jego zużyty wśród ludu jest najlepiej zużyty. Zresztą wśród ludu jest też najlepsze i najpewniejsze oparcie dla księdza, jak to się podczas walki kulturnej wykazało; ktoby na obcych opierał swą przyszłość, — budowałby zamki na lodzie. Ale i lud powinien wiernie trzymać z księżmi, wtenczas między nami a wami będzie ścisła spójnia, a ściśle spojeni oprzemy się wszystkim wrogim zakusom.

„Chcieliby księży ograniczyć na ambonę, aby w życiu prywatnem z wami styczności nie mieli, lecz sami często omawiają sprawy religijne na swój sposób w sejmie, w towarzystwach, w gazetach i t. d. Tu rzeczą naszą łapać złe za rogi, potykać się z nimi na ich własnym gruncie, chociaż nie w sejmie, — to przygotowywać dobre wybory, aby swego posła przeprowadzić, zbierać lud także w towarzystwach, starać się o dobre pisma i t. d.

„Wszakże sam Ojciec św. zachęcał księży, aby zakładali towarzystwa ludowe, a arcybiskup kardynał Kopp, aby zakładali towarzystwa rolnicze, spółki i t. d., słowem, żeby się starali o to, aby parafianie mieli chleb, a olej w głowie. — Nie zakładamy wprawdzie towarzystw, lecz znane są przecież trudności, jakie się napotyka; to dach nie dość mocny, mógłby się na głowy zawalić, to lokal za niski, to znów piec na dylach stoi, mógłby łatwo ogień powstać, — więc trzeba dać pokój. Trudno też o przewodników, bo u nas chodzi o wiele względów i względzików.

„A tymczasem lud polski także żyje na świecie i rozwija się nie tylko fizycznie, ale i umysłowo, wprawdzie nieprawidłowo, ale rośnie, a trudno wzrost jego powstrzymać, albo znów go do kolebki cofnąć. Rośnie, prawda, nie tak, jakby miał rosnąć, bo do tego potrzeba silnej, zdrowej strawy i swobodnego ruchu; wszakże i chłopak, który silną i zdrową strawę dostaje, inaczej rośnie, aniżeli ten, który niedostateczną, albo słabą strawę dostaje. Tak też i lud polski pragnie tej strawy, a jeżeli my mu jej nie podamy, to mu ją drudzy podadzą."

Dalej zachęcał ten zacny przewodnik ludu polskiego do zapisywania gazet polskich, zaznaczając, że one to są obecnie jedną z dźwigni narodowego życia u nas, i że rozwój polskiej prasy będzie niejako dowodem rozwoju poczucia narodowego u nas.

Najważniejszym ustępem przemówienia ks. Szotowskiego było gruntowne oświetlenie sprawy kaszubskiej i zdemaskowanie machinacyi wrogów naszego narodu, którzy pod pretekstem, że Kaszuby nie są Polakami, chcą odebrać im wszystkie prawa, jakie się im jako Polakom należą.

Tendencye te rządowe ujawniły się zwłaszcza przy ostatnim spisie ludności, a w kilku miejscowościach doprowadziły nawet do wybuchów głośnego oburzenia u Kaszubów, których urzędnicy gwałtem, jako nie Polaków zapisywali.

W tym przedmiocie powiedział ks. Szotowski, co następuje:

„Kaszuba to Polak na kaszubskiej ziemi. Powiedzcież mi tedy, gdzie to są Polacy? — Oto wszyscy jesteśmy Polakami, tak, jak gdyby ktoś powiedział: Ja Plichta, ty Łebiński, ale mówiąc o wszystkich razem z Chmielna, musi powiedzieć: my Chmielanie. Tak samo, czy to Westfalczycy, czy Bawarczycy mówią o sobie razem: my Niemcy — Deutsche. — A chociaż Kaszubi przed wiekami mieli własnych książąt, to jednak z Mazurami, Rusinami itd. mieli jednego wspólnego króla w Poznaniu, potem w Krakowie, a w końcu w Warszawie, jak dziś Bawarczycy mają swego króla, Wyrtemberczycy własnego i t. d., a wszyscy razem niemieckiego cesarza. Więc choć jesteś Kaszubą, toś Polak, jak ja Mazur, Guziński Kociewiak, ksiądz w Sierakowicach Borowiak, a każdy z nich jednak Polak. A jaka to różnica między językiem kaszubskim a polskim? Wszakże ś. p. ks. Bober był tutejszym Kaszubą, a jak kazał? Czy inaczej mówił, jak ja? Ks. wik. Bolt, to Kociewiak, ksiądz z Sierakowic to Borowiak, a czy oni inaczej mówią, jak ja Mazur? Ks. Wawrzyniak, ks. ks. Misyonarze, co tu byli aż od Lwowa, z Polski, z Górnego Ślązka i t. d., czy oni mówili inną mową? — Nie! A jednak czasem nie rozumiałeś słówka, lecz to nie dlatego, aby się mowa różniła, tylko dlatego, żeś w mowie ojczystej nie dość biegły, bo cię w szkole prawideł jej nie nauczono, albo może katechizmu dobrze nie znasz.

„Zdarza to się w całym świecie, że ludzie w różnych stronach trochę odmiennie wymawiają, ale z tego nie wynika, aby to był zaraz inny język; jest to tylko inna wymowa. — Jestem Mazurem, a czyż mnie nie rozumiecie, kiedy mówię po polsku? — (Tu z 1500 piersi zebranych Kaszubów wyrwało się gromkie: tak!)

„Gdym przybył do Chmielna, podpadło mi, że dzieci i w najniższym oddziale, jak to wszędzie bywa i przepis brzmi, nie uczono nauki religii po polsku. A że powiatowym inspektorem szkolnym był Niemiec czystej krwi, który słowa po polsku nie umiał, podejrzywałem, iż dla niego taka w szkole nauka religii. Zwołuję tedy wiec parafialny i przedkładam tę sprawę, zwracając uwagę na to, iż przecież jest rozporządzenie, żeby dzieci polskie przynajmniej na najniższym oddziale w religii były uczone po polsku, przyczem wspomniałem, że i niedawno p. minister śp. ks. Biskupowi na Jego użalenie odpowiedział: „Alećprzecież i w dyecezyi Waszej Biskupiej Mości na najniższym oddziale uczą po polsku."

„Na wiecu uradziliśmy tedy wysłać do rejencyi zażalenie tej treści, iż dzieci nie odbierają nauki religii tak, jak powinny.

„Na to nadeszła odpowiedź ogólnikowa, że i owszem nauczyciele uczą tak, jak uczyć mają.

„Jakże, mówię sobie, toć nie uczą po polsku. Więc wysłaliśmy powtórnie zażalenie, że przepisu, wedle którego dzieci polskie na najniższym oddziale w religii mają być uczone po polsku, u nas nie zachowują. Teraz to wyszły szydła z miecha. Rejencya bowiem odpowiedziała, że to polskie dzieci mają być uczone po polsku, a nie kaszubskie; ten przepis jest tylko dla dzieci, co mówią w domu po polsku, a nie po kaszubsku. Rejencya zatem wychodziła z tego założenia, że kaszubskie dzieci to nie polskie, a kaszubski język to nie polski, a więc jeżeli kaszubskie dzieci niby w obcym języku polskim mają się uczyć, to niechże się zaraz uczą w niemieckim języku, gdyż polski nie mniej im obcy, jak niemiecki."

Ks. Szotowski prawdziwą zasługę położył dla ludu kaszubskiego, że w ten sposób wykrył intrygę, która przy pomocy fałszowanych spisów ludności miała na celu okradzenie ludu polskiego z polskich kazań.

Podczas przemówienia ks. prob. Szotowskiego w sprawie obsadzenia probostw zaszła mała niespodzianka. Otóż, kiedy mówca uczynił wzmiankę o urzędniku, który chciał mu dopomódz do probostwa, nie wymieniając go wcale po nazwisku, — powstał urzędnik policyjny z Gdańska, dozorujący zebranie i zażądał, aby ks. proboszcz przestał mówić o osobistych rzeczach, ponieważ zebranie było rzekomo zameldowane tylko celem omawiania „spraw publicznych."

Po przemowie ks. prob. Szotowskiego poprosił p. poseł Połczyński o dostarczenie mu materyału dowodowego, celem poruszenia tej sprawy w Berlinie, a następnie dokończył swoje sprawozdanie poselskie.

Szanowny mówca wspomniał, iż Bismark swego czasu oświadczył w parlamencie, że traktat wiedeński nie wart ani „Pfiferlinga", dlatego też nie pomaga się nań powoływać. Posłowie polscy głosują zawsze przeciwko ciężarom państwowym. Najwięcej daje się we znaki pomnażanie armii, a wskutek pomnożenia marynarki potrzeba już teraz 4000 żołnierzy więcej. Nie dość tego, a już przebąkują o utworzeniu armii kolonialnej. — Koło polskie, składające się tylko z 14 członków, nie może wprawdzie wiele co zdziałać, lecz wytaczając skargi w parlamencie i sejmie, zakłada w imieniu całego społeczeństwa protest przeciwko wszelkim nadużyciom, który zapisuje historya.

Po przemówieniu szanownego posła, za które ks. przewodniczący mu podziękował w imieniu zebranych wiecowników, zabrał głos powtórnie ks. prob Szotowski w sprawie wolności religijnej. Po tej przemowie poprosił o głos długoletni i znany zaszczytnie na polu prac społecznych przewodniczący komitetu wyborczego p. Leon Lniski senior i oświadczył, iż z powodu podeszłego wieku i niedomagania na zdrowiu zniewolony jest swój urząd złożyć. Na propozycyą ks. przewodniczącego wybrano w jego miejsce przewodniczącym komitetu i delegatem p. Ignacego Lewińskiego z Kożyczkowa.

Wiec zakończył redaktor i wydawca, „Gaz. Gdańskiej“ p. Bernard Milski przemową o Sienkiewiczu.

Cały przebieg wiecu świadczył, że lud polski na Kaszubach ma świadomość swych praw i że żadne intrygi w nim poczucia polskości nie zniszczą, ani nie podetną. *Wiecownik.*

## Z TYGODNIA.

Skandaliczna sprawa bankiera Sternberga, któremu w szeregu wypadków udowodniono niemoralne stosunki tego rodzaju, iż podpadł pod karę więzienia karnego, skompromitował w najwyższym stopniu policyę berlińską, dostarczywszy dowodów skrajnego łapownictwa, przekupstwa, niesubordynacyi i jednem słowem takich przestępstw, które kwalifikują się pod paragrafy kodeksu karnego.

Obecnie znów tedy organy rządowe rozpisują się o reformie policyi kryminalnej. Gdyby jednak sięgnąć głębiej i zastanowić się nad przyczynami tej korupcyi w stanie urzędniczym pruskim i pruskiej biurokracyi, toby się okazało bezwątpienia, że przyczyny nie leżą bynajmniej gdzieindziej, jak tylko w systemie rządów, przyjętym dziś w Prusach. System ten polega na obrzydliwem służalstwie wobec sfer wyższych, na ubóstwianiu tylko siły, a co za tem idzie i pieniędzy. Władze wyższe nie sądzą urzędników podług ich pracy i zasług, ale podług tego, jak potrafią się przypodchlebić dostojnikom wpływowym. Pogoń za tytułem i orderem zastąpiła poczucie sumienności i akuratności, żądza zysków i złota stanęła na miejscu skromności, chęć przypodchlebienia się ministrom, lub tronowi zajęła miejsce sprawiedliwości. I nic dziwnego, jeśli korupcya się szerzy. Wszak wpływu hakatystów na sfery rządowe też niczem innem nie można wytłomaczyć, jak tą korupcyą.

Pod tym względem Niemcy mogą śmiało iść w zawody z Francyą. Francya nawet stoi wyżej, bo tam przynajmniej badanie sądowe wszystko na jaw wyprowadza, a w Niemczech?

Niemcy chwalą się nieraz, że jako naród, obecnie szybciej się mnożą od Francuzów, których ludność się nie powiększa. Niewielka to sztuka. Gdybyśmy podług płodności mierzyć mieli inteligencyę ssących zwierząt, to prym by odniosły w inteligencyi chyba króliki, bo one jeszcze od innych szybciej się mnożą. Rozstrzyga tu przecież kwestya wewnętrznego urządzenia się społeczeństw, a pod tym względem inni są smutnym przykładem korupcyi.

Jednakże poruszony przez nas powyżej fakt zmniejszania się liczby ludności we Francyi jest objawem, który bardzo niepokoi francuzkich mężów stanu i publicystów. Ilość procentowa narodzin w stosunku do liczby mieszkańców we Francyi jest znacznie mniejsza, niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim, i gdyby ten stan rzeczy miał trwać dłużej, niedalekim byłby czas, w którym nawet Włochy przewyższyłyby Francyę pod względem ludności.

Ponieważ przewaga liczebna stanowi duży czynnik w potędze politycznej państwa, kwestya przyrostu ludności jest wciąż na porządku dziennym. W ciągu ostatnich kilkunastu lat proponowano różne środki, mające zaradzić złemu. Teraz senator Piot, wystąpił z nowym projektem, który ma wejść niebawem pod obrady senatu. P. Piot, by zwiększyć liczbę obywateli francuskich, chwyta się środków fiskalnych: ojcom licznych rodzin chce zapewnić materyalną pomoc państwową, a natomiast ludzi bezżennych i małżeństwa bezdzietne pragnie obłożyć specyalnym podatkiem.

Zdaje się, że projekt p. Piot’a, mimo szlachetnej idei przewodniej, w praktyce okaże się niemożliwym i nie otrzyma sankcyi prawodawczej. Myśl wspomagania licznych rodzin jest piękną w zasadzie, dla przeprowadzenia jej wszakże potrzebne byłyby środki, jakich budżet francuski, przywalony ciężarem wydatków wojskowych, nie jest w możności obecnie dostarczyć. Zapomogi państwowe musiałyby być nader nieznaczne, — rozdawnictwo ich przy pomocy mechanizmu biurokratycznego z trudnością mogłoby funkcyonować prawidłowo. W drugiej części swego projektu p. Piot nie rozróżnia wcale płci i jednakowym podatkiem radby obarczyć upartych kawalerów i stare panny, nie bacząc wcale, że te ostatnie najczęściej nie z własnej winy „rutkę sieją“...

Wogóle zaś należy zaznaczyć, iż sprawa słabego przyrostu ludności jest kwestyą raczej moralną, niż prawodawczą. Nad Francyą unoszą się do dziś dnia słowa Guizot’a, które w swoim czasie wywołały entuzyazm i zostały uznane jako program narodowy, a których wpływ ujemny coraz silniej się ujawnia. — *Wzbogacajcie się!* — apostołował minister Ludwika Filipa. Burżuazya francuska przyswoiła sobie chciwie to hasło, tak chciwie, iż zapomniała dlań o pierwotnych zasadach etycznych. Liczne potomstwo i co za tem idzie, rozdrobnienie zebranego oszczędnością i pracą majątku, uczyniło się widmem ruiny. Pragnienie życia wygodnego i bez trosk zaczęło odstręczać mniejszych kapitalistów od życia rodzinnego, którego słodycze trzeba jednokrotnie okupywać zaparciem i poświęceniem.

Mimowoli nasuwa się nam tu na myśl fakt szybkiego pomnażania się ilościowego ludności polskiej, który przez polityków niemieckich podniesiony został do potęgi niebezpieczeństwa pierwszego rzędu, zagrażającego państwu praskiemu. Na razie niebezpieczeństwo to ujawnia się w sposób bardzo niewinny — mianowicie w formie pracy tysięcy robotników polskich na Zachodzie, — pracy za którą Niemcy płacą najgorszem obchodzeniem się z Polakami. Warto tu z ostatniej debaty parlamentarnej przytoczyć słowa posła wolnomyślnego Lenzmana, który w imieniu swej frakcyi zaznaczył, w rozprawach nad brakiem węgla, iż do tego braku przyczynił się brak robotnika. Nasza armia — mówił Lenzman — pochłania nam najlepsze siły młodych ludzi, właśnie do pracy najzdolniejszych — w tem kryje się rzeczywista przyczyna braku robotnika. W miejsce tych młodych ludzi ściągamy zatem tłumami robotnika z Galicyi i z Polski do naszych kopalń węgla. A może też, jeżeli nam Chiny nie będą w stanie zapłacić kosztów wojennych, każemy sobie przesyłać — w zamian za te koszta — żółtych kulisów, t. j. chińskich robotników? Czemużby i tak być nie miało. Toć kulis jest jeszcze tańszy od polskiego robotnika z Galicyi i od innych cudzoziemców, jak Włochów i t. d. A jednak przy tym braku robotnika obchodzimy się z polskim robotnikiem nie zbyt ładnie! Otóż tym 90 tysiącom robotników polskich, którzy pracują w kopalniach w Westfalii, nie chcemy życzyć nawet polskiego nabożeństwa, używania polskiego języka w kościele! Owszem zmuszają ich, żeby się po niemiecku uczyli i chcą im brać polskich księży! Nie jestem wcale przyjacielem Polaków i też pragnę, żeby się Polacy, o ile się da, zniemczyli, ale przeciw takiemu *niesprawiedliwemu brutalstwu* muszę tu wystąpić! (aber gegen eine ungerechte Brutalität muss ich mich wenden). Skoro rząd przy obecnej polityce w obec Chin religią stawia na czele swych wielkich zadań państwowych, to zaprawdę mogliby Niemcy pozostawić Polaków w spokoju, żeby mogli także swego Pana Boga po polsku w swym ojczystym języku chwalić!

Przemówienie to posła Lenzmana poparł poseł również wolnomyślny Ricke twierdząc, że lud niemiecki w przeważnej większości swej życzy sobie, że w Księstwie Poznańskiem pod żadnym warunkiem nie prowadzono dalszej walki przeciw Kościołowi katolickiemu i że należy ściśle rozgraniczać sprawy kato

agitacyi polskiej, wielkopolskiej, on także nie pochwala.

Ale muszę nadmienić, że tak ja, jak moi polityczni przyjaciele, będziemy się w sejmie pruskim zawsze dopominali o to — teraz i w przyszłości, żeby Polaków traktowano jako równorzędnych i równouprawnionych obywateli państwa.

Te głosy wymownym są dowodem, jak bardzo przejadły się już i Niemcom hakatystyczne wybryki.

Jak wiadomo, rok jubileuszu w chrześciańskim Rzymie zakończył się wraz z rozpoczęciem *XX* wieku.

Uroczystościom jubileuszowym niemałego blasku dodało solenne poświęcenie górnego i dolnego kościoła OO. Benedyktynów, które się odbyło 11-go listopada w dzień św. Marcina.

Kościół ten podwójny, prawdziwe arcydzieło sztuki kościelnej, przytykający do bardzo obszernego i wspaniałego kolegium, znajduje się na wzgórzu, Awentynie, tuż nad drogą wiodącą do bazyliki św. Pawła za murami Rzymu. Kolegium to będzie głównym, macierzystym domem dla całego zreformowanego zakonu św. Benedykta, a obok tego będzie główną szkołą dla kleryków zakonnych. — Ojciec św. naprzód chcąc wyrazić swe zadowolenie, wyznaczył na konsekratora swego sekretarza stanu, ks. kardynała Rampollę, a nadto wzięło w uroczystości udział 12 innych kardynałów, kilkunastu biskupów, wielka liczba innych dostojników kościelnych, a samych opatów zakonu benedyktyńskiego przybyło z różnych stron ośmnastu. Także i niektórzy posłowie państw zagranicznych, zostający przy Stolicy św., przybyli na tę rzadką uroczystość, która od 8 godz. z rana przeciągła się aż do 4 z południa. Zakon OO. Benedyktynów zasłużył sobie na to, jak o tem przekonujemy się z historyi — a także i dla nas Polaków położył wielkie zasługi, bo np. św. Wojciech, któremu tyle zawdzięczamy, był także Benedyktynem, nie mówiąc już o innych Benedyktynach, którzy w pocie czoła na naszej ziemi pracowali, a niektórzy z nich i śmierć męczeńską ponieśli.

*K. O.*

## PRZEGLĄD PRASY.

Wiadomo, jak trudno w dzisiajszych czasach przeprowadzić w urzędzie stanu cywilnego w Niemczech poprawną pisownię imion polskich.

Iluż to ojców, zrażając się kłopotami przy zapisywaniu imion, nie uważa na to, aby w metrykach nie były przekręcone imiona polskie.

Obecnie podaje **„Wielkopolanin"** szczegóły ciekawego procesu, który zakończył się przyznaniem słuszności jednemu z Polaków, dbałych o poprawną pisownię imienia swego dziecka:

„Zmiana imion przez urzędników stanu i przekręcanie polskich liter i końcówek dzieje się wbrew prawu, jak tego dowodzą nawet wyroki sądów pruskich. Wytrwać trzeba do końca i nie lękać się drobnych korowodów, a sprawę się przeprowadzi.

„Niedawno temu podaliśmy kilka podobnych przypadków, w których odnośni ojcowie rodzin przeprowadzili sprawę z pomyślnym skutkiem. Podobny wyrok wydała w tych dniach w drugiej instancyi izba karna w Gdańsku. Sprawa miała się tak:

„Pana Bronisława Pawłowskiego ze Stężyckiej huty, powiat kartuzki, obdarzył Pan Bóg w połowie września hożą córeczką, której pragnął nadać imiona „Franciszka", „Władysława". — Cóż z tego, kiedy to się nie podobało urzędnikowi stanu, szkólnemu Pötsch w Stężycy, który do urzędowego regestru chciał tylko zapisać imię i nazwisko po niemiecku: „Wladislawa Pawlowski". — Ufny w swoją siłę pruskiego urzędnika, zagroził nawet p. szkólny: „ich sperre Sie sofort ein", jeżeli pan Pawłowski protokółu nie podpisze.

„Pan Pawłowski atoli świadom swych praw obywatelskich, groźb się nie uląkł i protokółu nie podpisał: a kiedy mu nadesłano mandat karny na 30 marek, założył apelacyę do sądu (Widerspruch) przeciwko karze. Sprawa przyszła przed sąd ławniczy w Kartuzach, który pana Pawłowskiego uwolnił od winy i kary."

Przykład ten zachęcić powinien wszystkich ojców polskich, aby nie zaniedbywali praw swych. Kierujmy się zawsze i wszędzie zasadą: brońmy i nie zaniedbujmy dobrowolnie spraw naszych!

Niemcom, przemyśliwającym nad wynalezieniem sposobów zagłady na Polaków, nie daje spać myśl, że wyniki osiągnięte przez komisyę kolonizacyjną z takim nakładem kapitału i agitatorstwa hakatystycznego nie stoją w żadnym stosunku do zamierzonych celów.

Wobec lamentów pism hakatystycznych, piszą niektóre gazety niemieckie szyderczo, że rząd się przerachował widocznie, skoro hakatyści bredzą o wzrastającem niebezpieczeństwie polskiem.

Bawarski **„Vaterland"** pisze:

„Już przed kilku tygodniami rozeszła się w prasie rządowej zasmucająca wiadomość nad fiaskiem funduszu dwustumilionowego.

„Fundusz ten dwustumilionowy, tak przyznają oficyalnie, miał ten skutek, że dopomógł mniej dobrze sytuowanym obywatelom w osiągnięciu za swoje dobra bardzo przyzwoitej ceny kupna, z którą zapewniając sobie egzystencyą, albo się osiedlili w większych miastach, wzmacniając polski żywioł obywatelski, albo też nabyli za te pieniądze korzystniejsze dla siebie dobra. W ostatnich trzech latach 1897, 1898 i 1899 stracili Niemcy w 1300 posiadłościach 10 000 hektarów. — Nie Niemcy więc, ale Polacy zakupują coraz więcej posiadłości ziemskiej. Bardzo płaczliwe wywodzą skargi na to, że pomiędzy Polakami nadspodziewana zapanowała jędrność i determinacya i że Polacy łączą się jak nigdy przedtem solidarnie. Gdyby nasi gwałtowni politycy byli studyowali historyą, to byliby się przekonali, że gwałtowne zakusy germanizacyjne Niemców resp. Prusaków, ludu polskiego nie rozdrabniają, ale coraz to mocniej jednoczą i spajają. Gwałtowne postępowanie państwa podrażniło w wysokim stopniu odpór Polaków, a opozycyą powiększyło tylko i niezmiernie wzmocniło. Tem się też tłomaczy upadek niemieckiego handlu w polskich okręgach. Polacy skoro tylko spostrzegli, że ich chcą zrobić „wszechniemcami", odwrócili ostrze i bojkotują ze swej strony o ile to leży w ich siłach, kupca niemieckiego. Hasło: „Polak, niech kupuje tylko od Polaka", już dawno wydanem zostało i ściśle bywa wykonywanem. Ale największe głupstwo popełnił kurs najnowszy, odbierając Polakom wykład religii w języku polskim. Zakaz ten trafił w najdrażliwszą stronę Polaka, bo dotknął życia familijnego, ogniska domowego. Dotychczas można było przynajmniej mówić o walce politycznej, w której się spotykali sami tylko mężczyźni. Odtąd wre walka zacięta przeciwko wszystkiemu, co się nazywa niemieckiem, która się prowadzi z energią, jaką naród zagrożony w swej egzystencyi prowadzić jest zdolen.

„Jak wysoce drażniącemi są takie brutalstwa, jak wyzywająco na lud polski oddziaływać może kara więzienna panny za to, że dzieciom polskim udzielała bezpłatnie nauki języka polskiego, o tem mędrcy „wszechniemieckiego" kursu najmniejszego nie mieli pojęcia."

Wątpić jednakowoż należy, czy te słuszne spostrzeżenia bawarskiego organu zrobią wrażenie na sferach antypolskich pruskich, zaślepionych w powodzenie siły i znających jedną tylko siłę ponad prawo.

Zauważyć z drugiej strony trzeba, że Polacy nie ze wszystkiem zasługują na te pochwały, których im organ bawarski nie skąpi. Mianowicie częste sprzedaże na kolonizacye ciężkim wstydem okrywają społeczeństwo. Gdzie szukać przyczyn tych pożałowania godnych faktów apostazyi narodowej, uwydatnia bystro podchwycony obrazek z **„Postępu"**:

„Przeszachrował pan Konstanty Sulerzyski perłę Pałuk, majątek swój rodzinny, obszaru mórg 3 tysiące, Górki Zagajne, komisyi kolonizacyjnej. Pan Sulerzyski ojcowiznę swoją otrzymał w spadku po zmarłym ojcu swoim w najlepszem zagospodarowaniu i bez żadnych długów. Jako młodzieniec p. Sulerzyski był to patryota zawołany. Na wszystkich zgromadzeniach naszych nigdzie go nie brakowało — na kółkach rolniczych znakomite wygłaszał odczyty. Niestety po objęciu ojcowizny obudziła się też w nim żyłka marnotrawstwa i utracyuszostwa. Pamiętamy konkury jego do obecnej żony, a byłej panny Grabskiej, córki pana Józefa Grabskiego ze Skotnik, byłego posła do parlamentu. Całe Kujawy sądziły, że do Skotnik jeździ jaki zmartwychwstały starosta polski. Elegancki wózik krakowski, do niego zaprzężona ognista czwórka rumaków, przybranych w krakowskie chomąta, na koźle kuczer, rażny krakowiak, w powózce zaś przepasany litym pasem, w kontuszu i żupanie, batorówce z potężną kiścią na

głowie, rozpierał się jak ... polski starosta, zwany żartobliwie pan Kot Sulerzyski. A i z drugiej strony — przy wizytach i kuligach w sąsiedztwie, to i płeć nadobna przybrana w drogie polskie futerka i kubraczki z zgrabnemi krakuskami na głowie. Słowem, gdyś wszedł w to towarzystwo, zapomniałeś Polaku, że od stu lat przeszło jęczysz w niewoli. A ponieważ jednakże położenie Górek Zagajnych, do odbywania takich zabawek nieco nie domagało, trzeba było temu sztucznie zapobiedz. Dalejże tedy sprowadzać do lasów Górek Zagajnych dziki, jelenie, niedźwiedzie i inne przeróżne dzikie zwierzęta, których u nas nie staje. Podobnego życia mogą sobie pozwalać raz poraz ci, których na to staje, ale nie my biedni Polacy, jęczący od stu przeszło lat w niewoli".

Podobne zbytki są wprawdzie na szczęście wyjątkiem wśród naszego społeczeństwa, ale zawsześ one robią szczerby w murze naszej narodowej obrony. W porę więc przychodzi nam głos jednej z amerykańskich polskich gazet, mianowicie **„Dziennika Chicagowskiego"** który pisze:

„O ile miło nam skonstatować tę bezradność Niemców wobec rozbudzonego żywiołu polskiego, o tyle z drugiej strony trudno nam zataić, że bracia nasi pod zaborem pruskim mają przed sobą walkę bardzo trudną, bo z nieprzyjacielem stokroć i liczbą i zasobami potężniejszym. Czy wytrwają w tej walce?

„Pisma, które otrzymujemy z Wielkopolski powiadają: „wytrwamy i przetrwamy". Nie mamy powodu wątpić w to, że tak będzie. Ostateczne zerwanie z polityką ugodową, połączenie się wszystkich stronnictw politycznych na gruncie walki z rządem i niemczyzną, niezwykły ruch na polu oświaty itd., wszystko to każe nam wierzyć, że bracia nasi w Wielkopolsce istotnie przetrwają. Wszelako takie fakta, jak aresztowanie panny Omańkowskiej, jak zapowiedź usunięcia arcybiskupa Stablewskiego ze stolicy poznańskiej, jak coraz częściej powtarzające się aresztowania redaktorów pism polskich i osób nad oświatą ludu pracujących, jak wreszcie owo przez nas obecnie poruszone zainteresowanie się Niemców amerykańskich tą sprawą, daje nam obraz niesłychanie trudnego położenia, w jakiem się znajdują rodacy nasi w zaborze pruskim i każe nam przypuszczać, że czeka ich walka cięższa niż kiedykolwiek dotychczas, w której by ich wesprzeć się należało.

„Rzucamy przeto przed czytelników naszych myśl, czyby nie należało, czyby nie można było w obecnej dobie, kiedy w Wielkopolsce wre walka z wrogiem ze wszystkich dawnych dzielnic Polski najsilniejsza, złożyć nam jakąś sumę i posłać ją na pomoc? Obecnie najgłówniej idzie tam o to, aby dziatwa polska czytać i pisać po polsku się nauczyła. Czy niebyłoby to pięknie, gdybyśmy zebrali pomiędzy sobą jaką kwotę na elementarze, i tę którémukolwiek z komitetu oświaty w Poznańskiem posłali?"

Nie umiemy ukryć uczucia żywej radości na widok tej chęci okazania pomocy nam. Z tem większą wiarą w zwycięztwo dobrej sprawy społeczeństwo nasze przystąpi do dalszej pracy. B. M.

## Specyalna korespondencya „Pracy."

### Walka wychodźtwa polskiego o równouprawnienie języka ojczystego w kościele.

*Berlin*, 31 grudnia 1900.

I.

Nie pierwszy to raz Czytelnicy „Pracy" słyszą o walkach, jakie wychodźtwo polskie w okolicach niemieckich staczać musi celem zdobycia równouprawnienia języka polskiego w kościele. W Berlinie walka ta toczy się od dawna i tu właśnie dotąd z mniejszym jeszcze niż gdzieindziej np. w Westfalii, skutkiem. Dotychczasowe zabiegi poszczególnych parafii o uzyskanie polskich nabożeństw, liczne delegacye do księży proboszczów itd. nie miały pożądanego skutku. Co najwyżej dano nam coś nieco na zaspokojenie, a po części drobne te uwzględnienia języka naszego wkrótce znów pod różnemi pozorami cofano.

Obecnie już poczucie krzywdy, jaka się dzieje Polakom katolikom w Berlinie, objęło tak szerokie warstwy, i doszło do takiego spotęgowania, że cała osada zbiorowym głosem stanowczo zaczyna się domagać od władzy duchownej praw przynależnych językowi polskiemu w kościele. Wyrazem dobitnym tego nastroju był wiec ogólny, jaki się odbył 9 grudnia.

Zbiorowe wystąpienie w tej sprawie kolonii berlińskiej nabiera szczególniejszego znaczenia w chwili obecnej, gdy u Was w Poznańskiem działanie patryotów niemieckich, opiekujących się rzekomo uciśnionymi katolikami Niemcami, dochodzi do szczytu. W rozwoju tej akcyi doszło już u Was do tak smutnopociesznych kawałków, jak teatralna burza wyborcza w Babimojsko-Międzyrzeckiem, z wysuniętą na czoło figurką teatralną kandydata Krzesińskiego.*) Tam u Was skargi na brak równouprawnienia, gdy tu i owdzie 10 lub 15 Niemców słyszy tylko co cztery tygodnie kazanie niemieckie — u nas w Berlinie, po kilkaset, ba nawet i parę tysięcy parafian Polaków (jak w Ruedersdorfie) nie może go się doprosić choćby na wielkie święta! My tu nie potrzebujemy sztucznej agitacyi, ażeby wzbudzić głosy domagające się równouprawnienia — budzi je w piersi najspokojniejszego robotnika ból, gdy mu proboszcz niemiecki odmówi pozwolenia na zaśpiewanie wraz z setkami ziomków, choćby w jedno tylko święto Bożego Narodzenia, polskich kolend, budzi je żal, iż nigdy nie przemawia doń z kazalnicy kapłan po polsku, budzi je rozpacz umierających na wspomnienie, iż stara matka, nie umiejąca się modlić po niemiecku, nawet przy grobie syna nie usłyszy polskiego pacierza!

Cóż znaczą wobec tego żale Niemców w Poznańskiem, gdzie przecież i w najbardziej polskiej okolicy zawsze ksiądz na życzenie parafianina Niemca spełnia posługi w jego języku?!

O ile zaś agitatorzy niemieccy w Poznańskiem i popierające ich pisma powtarzają z żalem, iż Niemcy się tam polszczą, bo dla ludu katolicyzm a polskość to jedno — my odpowiadamy: za każdego Niemca spolszczonego w Księztwie wskazać możemy *dziesięciu* Polaków zniemczonych na obczyźnie przez to, że katolicyzm a polskość było im jedno. A prosimy nam wykazać, czy w Poznańskiem gdziekolwiek i kiedykolwiek duchowieństwo wywierało w tym kierunku taki nacisk na swych parafian, jakiego przykłady mamy tutaj na każdym kroku! Czy obrońcy „uciśnionych" katolików Niemców mogą choć jeden podać przykład, by kapłan Polak radził swemu parafianinowi Niemcowi nie uczyć dzieci po niemiecku?! Rady zaś od księży Niemców, aby nie obciążali młodego pokolenia nauką języka polskiego, rodzice tutejsi słyszą bez ustanku!

Dobrze się więc złożyło, że względem na ogólną obronę spraw naszych, że bu... nym występom obrońców „uciśnionej" niemczyzny w Poznańskiem przeciwstawić możecie obraz „równouprawnienia" jakiego w dziedzinie kościelnej doznają Polacy-katolicy berlińscy, że przeciwstawić możecie sztucznie wzniecanym demonstracyom w Księztwie tak poważny, wolny od teatralnych przydatków, występ krzywdzonego istotnie społeczeństwa, jakim był nasz wiec ostatni.

Jest to oczywiście przypadkowym zbiegiem okoliczności, że wkrótce po szopce — z przeproszeniem mówiąc — babimojskiej wystąpiliśmy z ... wiecem berlińskim w sprawi...

*) Nazywając nieszczęsnego kandydata teatralną figurą, przywodzę sobie na pamięć drobny, lecz niezmiernie cechujący fakt z przed lat mniej więcej ośmnastu. Już wówczas młody Krz. okazał się w świetle takiem, w jakiem świeżo stawiła go sprawa babimojska — to też nie byłem wcale zdziwiony, czytając o jego ostatnich występach. Niech mi wolno będzie podzielić się z Czytelnikami tem wspomnieniem, które mi z czasów młodzieńczych tak żywo utkwiło w pamięci. Było to w gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, gdzie kolegowałem z Krz.. będącym o jednę czy dwie klasy wyżej odemnie. Pewnego razu, po rozdawaniu świadectw, słyszymy na korytarzu jakiś płacz przeciągły, szlochanie jakby niewieście, i zawodzenie — czyż jakie nieszczęście, wypadek?! Cóż się okazuje? Oto Krz., nie dostawszy promocyi, rozpacza tak hałaśliwie po ganku, słania się jakby omdlewał, aż go koledzy podtrzymywać muszą, i szlocha jak baba! Obraz ten przykre na wszystkich wywarł wrażenie — niechby, będąc miękkim, rozpłakał się, ale po co czynić to tak hałaśliwie na ganku! Chyba mu chodziło o *efekt*, o przywabienie profesorów, by widzieli jego rozpacz. Ztąd dziś nie dziwię się występom byłego kolegi!

Do wieca tego gotowano się od dawniejszego czasu.

Wiec nasz jako taki nie miał być i nie był żadną demonstracyą polityczną, jakimś występem przeciwko antypolskim zarządzeniom w Prusiech wogóle itp. Był poprostu obrachunkiem katolików Polaków ze swą władzą kościelną, wyliczeniem co dla parafian polskich władza uczyniła, a raczej czego nie uczyniła, i wyszczególnieniem wszystkich niezbędnych potrzeb, których spełnienia odtąd cała kolonia tutejsza jednomyślnie a stanowczo domagać się będzie.

Komitet zwołujący wiec słusznie postąpił, że zawiadomił o nim władzę kościelną, objawiając życzenie, aby przysłała swego zastępcę.

Dwa są powody, że stosunki tak się układały: wybitny patryotyzm niemiecki księży i... brak świadomości narodowej u przybyszów polskich na obczyznę.

Księża Niemcy patryoci rozumowali: o ile robotnicy i rzemieślnicy Polacy dają się tutaj łowić w sidła socyalizmu, nie mamy co o nich się starać, bo i tak dla kościoła straceni, reszta zaś, karna w duchu katolickim i za żadną cenę nie dająca się odwieść od wiary ojców, nie odstręczy się od kościoła dlatego, że w nim nabożeństwo jedynie niemieckie. Dlaczegoż więc nie mielibyśmy, zachowując tym ludziom wiarę, pozyskiwać ich zarazem dla narodowości niemieckiej? Nie jesteśmy przecież stróżami narodowości polskiej — jesteśmy Niemcami. Obowiązek nasz jako kapłani wobec tego ludu obcego spełniamy, obowiązku zachowania im języka nie mamy!

Daremnie raz poraz umiarkowańsi księża lub pisma niektóre niemiecko-katolickie przestrzegały, że zaniedbywanie potrzeb językowych Polaków przynosi szkodę i kościołowi, bo niejeden skutkiem tego właśnie obojętnieje i w wierze! Zapaleni patryoci duchowni twierdzili, widząc, jak lgną do towarzystw niemiecko-katolickich Polacy, że wszystkie żywioły szczerze katolickie wśród przybyszów zdołają skupić około siebie, że tylko z góry obojętni na rzeczy wiary wygadują na brak polskich nabożeństw. Ponieważ zaś tacy ludzie prędzej czy później straceni tu na obczyźnie dla kościoła, nie warto dla nich się trudzić i tracić dla niemczyzny wielkich mas, które przecież i bez polskich nabożeństw dla kościoła zostaną zachowane.

Postępowanie duchownych niemieckich wobec Polaków dowodzi, że w takim właśnie duchu rozumowali. Niektórzy przytem działali zaczepnie, przyspieszając germanizacyę, inni patrzyli na nią spokojnie, widząc, że się odbywa czasem gładko, i że lud polski sam, że nawet sfery robotnicze nie objawiają oznak, jakoby odczuwały jakąś niesprawiedliwość w postępowaniu wobec nich.

I oto dochodzimy do omówienia objawu ważnego, któremu osobny ustęp poświęcić należy.

(Dokończenie nastąpi.)

## Głosy od Przyjaciół.

*Z prowincyi*, 1 stycznia 1901.

Kochana „Praco!“

Chwytam za pióro, aby z okazyi nowego roku i kwartału złożyć „Pracy“ serdeczne życzenia, a jej czytelnikom, tym zwłaszcza, którzy często pisując listy tu ogłaszane, przyczyniają się do wzajemnego poznania się ludu polskiego w rozmaitych stronach, aby powodziło się im najlepiej i pod względem pracy nad oświatą swych współobywateli, aby zawsze dobre osiągali rezultaty. Ja tu mogę tylko poświadczyć, że przez pismo „Praca“ zawsze najlepsze osiągałem rezultaty, gdy chodziło mi o to, aby jakiego opieszałego lub obojętnego rodaka rozbudzić dla sprawy narodowej. Jest bowiem wśród nas, w Poznańskiem, dużo takich obojętnych, co to ani gazet, ani książek polskich nie czytają i do czytania ich nie namówisz, bo zaraz mają odpowiedź gotową: „Co mi po tem? Za 10 lat to wszystko tu będzie niemieckie, to i ja wolę odrazu już być Niemcem.“ Otóż z takich samobójców narodowych już niejednego przekonałem, dawszy mu numer „Pracy.“ Gdy taki jeden lub drugi przeczyta ją sobie od deski do deski, to choćby miał najbardziej tępy umysł, powiedzieć sobie musi: „Hola, panowie Niemiaszki! Jeszcze to z naszą Polską tak źle nie jest!“ nabierze potem odwagi w serce, rozmyśla o tem i owem, aż wreszcie dojdzie do przekonania, co jest jego świętym obowiązkiem jako Polaka. Taki człowiek później staje się najlepszym Polakiem. Tak z ludu wyrastają przyszli obywatele, z przekonania będąc Polakami i mając jasny pogląd na sprawę oświaty narodowej.

A teraz jeszcze jedna zachęta do kupców naszych. Który czytelnik naszego pisma ma skład kolonialny, to powinien „Pracę“ na bufet kupiecki położyć. Gdy dużo ludzi, a niejeden musi czekać chwilę, to chętnie pismo przejrzy, zachęci go ono, a w ten sposób jednym numerem kilku czytelników można sprawie przysporzyć. Ja tak sam robię z dobrym skutkiem.

*Doradca z nad Noteci.*

* * *

*Zielonagóra, (Szląsk).* 1 stycznia 1901.

Szanowna Praco!

Nas tu w Zielonej Górze jest przeszło tysiąc Polaków, którzy jednak nie są należycie rozbudzeni. Dawniej to w istniejącem tu od 2 ch lat towarzystwie było 70 członków, a teraz jest zaledwie 40. Polacy, choć nieraz będąc majstrami i mając byt niezależny, tłuką się po obcych towarzystwach, niby to z bojaźni, że stracą kundmanów. Źle to jest i z tym nowym rokiem powinno się na lepsze obrócić. To jest np. z katolickiem towarzystwem niemieckiem, do którego tylu Polaków należy, choć ksiądz-prezes jest nieprzyjacielem Polaków i germanizuje zawzięcie.

A gdy tu niejaki Keller z Międzychodu zaczął agitować za założeniem towarzystwa Ostmarki (hakatystów) to w tem towarzystwie niemieckiem właśnie doznał życzliwego poparcia, a żaden z Polaków się nie znalazł, aby wystąpił śmiało i powiedział germanizatorom, co im się należało.

Taka to oziębłość panuje w ich sercach! Czytają oni o tem wszystkiem w niemieckich blattach, jak nas Prusacy germanizują i odbierają najświętsze skarby, bo narodowość, wiarę, i ojców język, — ale to ich nie wzrusza. Oby Królowa korony Polskiej łaskawem okiem wejrzeć raczyła na te serca odrętwiałe i ze snu je wyrwała — bo nam potrzeba ludzi czujących i myślących, a nie śpiących. — Pozdrowienie polskie! *L.*

* * *

*Z Pomorza*, 31-go grudnia 1900.

Szanowna „Praco“!

Na Pomorzu wychodźtwo polskie nie odznacza się wielką ruchliwością. Kolonię polską *w Szczecinie* (Stettin) uważać można za oazę, rzuconą w rozległą krainę i odciętą od komunikowania się zarówno z krajem, jak z innemi koloniami.

W Szczecinie mieszka napewno 5—7 tysięcy Polaków, jeśli wnioskować wolno z ksiąg fabrycznych, wykazujących olbrzymią liczbę robotników katolików o polskiem brzmieniu nazwiska, urodzonych w Księstwie lub Prusach Zachodnich.

Na wychodztwo tutajsze składa się przeważnie lud najprostszy, nie przynoszący ze sobą żadnego zasobu narodowego poczucia. Przeważna większość Polaków znajduje zatrudnienie w warsztatach budowy okrętów, w fabrykach cementu i odlewarniach.

Do istniejącego od 1893 r. w Szczecinie towarzystwa „Jedność“ należy obecnie zaledwie kilkunastu członków. Są to inteligentni rzemieślnicy oraz kilku kupców.

Pomimo nieznacznej liczby członków towarzystwo cieszy się aż zanadto troskliwą opieką policyi, która od roku stale przysyła swego reprezentanta na posiedzenia i w ten sposób podcina byt towarzystwu.

Zebrania odbywają się co dwa tygodnie. Wobec niewielkiej liczby członków to wystarcza, ale nie pozwala na szerzej pojętą działalność wśród kolonii polskiej.

Ogół wychodźców polskich w Szczecinie składa się prawie w równej mierze z ludzi, pochodzących z Poznańskiego, jak z Prus Zachodnich.

Przybywają przeważnie ludzie młodzi, pomiędzy 25 a 30 rokiem życia, osiadają na stałe i żenią się. Procent małżeństw z Niemkami jest znaczny. *R.*

* * *

*Dysseldorf*, 2 stycznia 1901.

Szanowna Redakcyo!

W *Dysseldorfie* zamieszkuje dość znaczna liczba Polaków, a kolonię tutejszą zaliczyć można do bardziej ożywionych, co już zresztą z samej liczby towarzystw wynika. Przeważnie składa się kolonia polska dysseldorfska z rzemieślników, pracujących po warsztatach. Mianowicie w przemyśle żelaznym jest zatrudnionych dużo wychodźców.

Kazania polskie miewa zakonnik z klasztoru Franciszkanów O. Konstanty, Polak — co miesiąc.

Policya stawia ogromne trudności rozwojowi towarzystw i życiu polskiemu wogóle.

Najmłodszem towarzystwem jest tow. „Gwiazda“, założone w 1900 roku.

Przy towarzystwie „Polonia“ istnieje kółko śpiewackie, które dobrze się rozwija i przyczynia się wielce do ożywienia i skoncentrowania życia tutajszej kolonii polskiej.

Najstarszem i co do liczby członków najpoważniejszem towarzystwem jest „Towarzystwo Polskie Św. Rocha.“ Towarzystwo „Polonia“ zostało założone w roku 1898. Posiedzenia towarzystw odbywają się co niedzielę.

Członków liczą wszystkie trzy towarzystwa z górą 250. Gazet przychodzi do towarzystw i do prywatnych osób dość dużo. Zebrania odbywają się co tydzień.

Cechą kolonii polskiej w Dysseldorfie jest niestałość liczby przebywających tu Polaków. Gdy w zimie liczba Polaków dochodzi do trzech tysięcy, w lecie wzrasta do pięciu.

Około 100 rodzin polskich stale od lat kilku tu mieszka. Na nabożeństwa dla Polaków schodzi się do tysiąca wychodźców.

Większość pochodzi ze wsi z Księstwa Poznańskiego. Przedsiębiorstwa budowlane, kwitnący przemysł żelazny, kanalizacyjne roboty dostarczają zdolnym robotnikom zarobku pewnego i wysokiego.

Bardzo nieznaczna część Polaków trudni się rzemiosłem po mniejszych warsztatach. Kilku ma drobne przedsiębiorstwa handlowe. Około 50 dziewcząt polskich pracuje w fabrykach tkackich.

Dopływ sił nowych z kraju nie ustaje. Przybywają przeważnie ludzie młodzi, po ukończeniu 20 lat.

* * *

*Helbra*, 1 stycznia 1901.

Kochana Praco!

*W Helbra*, miejscowości, położonej w okręgu Mansfeld (prow. saskiej) kolonia polska, jakkolwiek dość liczna, składa się przeważnie z mało uświadomionych pod względem narodowym robotników. To też germanizacya szybkie tu czyni postępy. Ludność polska niema dobrych zarobków, mieszkają tu przeważnie wychodźcy żonaci, nie zamyślający powrócić do kraju. Gazet polskich przychodzi bardzo mało. Towarzystwa polskie istniejące w Helbra odbywają zebrania stosunkowo dość rzadko i mają niewielki zasób książek. Polskie tow. robotników w roku 1893 liczyło 70 członków, frekwencya przeciętna wynosiła 25 członków na posiedzenie. Przyczyną trudnej egzystencyi towarzystw polskich jest kierowane przez księży niemieckich towarzystwo niemiecko-katolickie „Männerverein“, liczące znaczny zastęp członków, przeważnie samych Polaków, z wyjątkiem niewielkiej liczby Włochów i Niemców.

Księża ci starają się na Polaków wpływać, aby abonowano fachowy dodatek do „Germanii“, wychodzący w Berlinie „Arbeiter“, natomiast odstręczają od abonowania pism polskich. Naturalnie „Männerverein„ jest najsilniejszym posterunkiem germanizacyjnym.

Mimo to wszystko należący do towarzystw Polacy nie upadają na duchu. Dzięki Tow. Czyt. Ludowych w Poznaniu mają oni książki polskie. Pomimo energicznej pracy zarządów, nie widać przyrostu członków. Kółko śpiewackie „Lutnia“ miało w roku 1898 — 53 członków, dziś ich ma 59. Istnieje od roku 1894. Liczba Polaków dochodzi do 600. Wychodźcy pracują przeważnie w kopalniach łupku koprowego.

Oprócz wymienionych powyżej dwóch towarzystw polskich istnieje jeszcze osobne towarzystwo Górnoślązaków.

Nieznaczny procent należących do towarzystw Polaków żonaty jest z Niemkami, większość zaś, jakkolwiek w młodym wieku przybyła, żeni się z Polkami.

Warunki zarobkowe nie są świetne. Ponieważ niski poziom umysłowy ogółu nie pozwala na wygłaszanie jakichkolwiek specyalnych odczytów, posiedzenia towarzystw bywają z reguły wypełniane odczytami religijnej treści, żywotami świętych i t. d.

Kilku Polaków ma drobne przedsiębiorstwa handlowe. Uderzającem jest, że z pośród członków towarzystw wszyscy zamieszkali w Helbra dawniej niż od 5-ciu lat. Świadczy to, że z jednej strony przypływ nowych sił jest mały, a z drugiej — że wśród tych przybyszów nie starają sobie towarzystwa zjednywać nowych członków.

*K.*

# Józef Chociszewski.

Józef Chociszewski urodził się 1837 r. we wsi Chełst (po niem. Neuteich), położonej w powiecie czarnkowskim nad granicą Brandenburgii. Ojciec Jakób był nauczycielem; matka Marya z Dymków. Odebrawszy pierwsze początki nauk od ojca, oddany był Józef Ch. do gimnazyum w Trzemesznie, gdzie doszedł do wyższej Sekundy. Przez półtora roku był nauczycielem domowym, w r. 1861 i 62 pracował przy „Gwiazdce Cieszyńskiej“ w Cieszynie pod okiem Pawła Stalmacha. Na rozkaz rządu austryackiego musiał Ch. Cieszyn opuścić. Bawiąc kilka tygodni u Karola Miarki w Pielgrzymowicach pod Pszczyną na Szląsku Pruskim, obudził w nim iskrę narodowości polskiej i zachęcił do pracy narodowej. Pod koniec 1862 r. objął Ch. redakcyę „Nadwiślanina“ i „Przyjaciela Ludu“ w Chełmnie nad Wisłą. „Przyjaciel Ludu“ miał przy objęciu redakcyi 1700 przedpłacicieli, wkrótce liczył 5000 egz. Na r. 1863 wyszedł staraniem Józefa Chociszewskiego Kalendarz polski katolicki, drukowany w 11,000 egzempl. Za artykuł o Janie Kilińskim w „Przyjacielu Ludu“ był Chociszewski aresztowany i osadzony na 2 lata więzienia fortecznego, które odsiedział w Wisłoujściu nad morzem Bałtyckiem. Po wyjściu z więzienia mieszkał w r. 1863—65 w Gdańsku i w Pelplinie. Wtedy brał czynny udział w zakładaniu i rozwoju kółek rolniczych w Piasecznie, Pieniążkowie, Bobowie, i Pelplinie, pracując jako sekretarz i miewając często wykłady na posiedzeniach. Najważniejszą przecież jego zasługą było, że podając sprawozdanie o posiedzeniach Towarzystw rolniczych ludowych do gazet, rozszerzał wiadomość o Towarzystwie rol. w Piasecznie i pokrewnych. Założycielem Towarzystwa rol. w Piasecznie pod Gniewem, był Juliusz Kraziewicz, mąż wielkich zasług i poświęcenia dla sprawy narodowej. Towarzystwo w Piasecznie jest to macierz Kółek włościańskich w Prusach Zachodnich, Księstwie i w Galicyi. Przyjeżdżali tam licznie rodacy z dalszych nawet okolic, aby wziąść zachętę do zakładania podobnych towarzystw. Od 1867 do 1869 r. redagował Józef Chociszewski w Chełmnie przy pomocy Kraziewicza pierwsze pismo polskie rolnicze ludowe „Piast“.

Od 1865—69 r. zamieszkał J. Ch. raz wtóry w Chełmnie, gdzie oprócz „Piasta“, wydawał „Katolika“ i „Przyjaciela Dzieci i Młodzieży“. „Katolika“ odstąpił później Karolowi Miarce w Mikołowie. Pismo to dotychczas istnieje w Bytomiu. W Chełmnie 1867 roku zawarł J. Ch. związek małżeński z panną Alodyą Gółkowską, córką Józefa Gółkowskiego, który założył w Prusach Zachodnich pierwszą polską drukarnię, księgarnię i pierwsze pismo polskie: „Szkołę narodową“, która się później zamieniła w „Nadwiślanina“, wychodzącego od 1850 do 186[illegible] r. — W r. 1869 przeniósł się J. Ch. do Poznania; 1893 r. do Inowrocławia, a 1895 r. do Gniezna, gdzie dotychczas przebywa.

W roku 1872 powstało za staraniem J. Ch. towarzystwo „Ul“ mające na celu oswobodzenie rzemieślników z pod przewagi innoplemieńców. Towarzystwo to zaczęło pierwszy polski handel skór w Poznaniu i pierwszy tani skład łokciowy. Skutkiem intryg złożył J. Ch. 1875 r. przewodnictwo. Pierwszy rok pracował bezpłatnie, później brał 75 mk. miesięcznie pensyi. Po usunięciu się J. Ch. Towarzystwo upadło. Lepiej się udało z założeniem „Jutrzenki“ w 1890 r. Jest to Towarzystwo wstrzemięźliwości mające na celu wykorzenienie pijaństwa i karciarstwa. Doniosłość tego stowarzyszenia poznamy najlepiej, jeżeli rozważymy, że Polacy wydają co rok 300 milionów marek na napoje alkoholiczne, a z tej olbrzymiej kwoty bodaj 50 mil. marek wpływa w polskie kieszenie. Od 18[illegible] do 1900 r. stracili Polacy najmniej [illegible] miliardów z powodu pijaństwa. „Jutrzenka“ nie mogła się należycie rozwinąć, gdyż inteligencya nietylko nie poparła tego przedsięwzięcia, ale nawet zajęła z małemi wyjątkami wrogą a co najmniej obojętną postawę. Za staraniem J. Ch. powstały podobne Towarzystwa we [illegible] Wierzenicy, w Swarzędzu, Kostrzynie, Grodzisku i Krotoszynie, które jednak upadły. J. Ch. wygłosił około 300 mów i wykładów przeciw pijaństu i napisał najmniej 500 artykułów do gazet, kalendarzy i innych wydawnictw w tej sprawie. Wydał też kilka broszur. Zamierzał napisać obszerne dzieło: „Walka przeciw pijaństwu“, ale zamiar ten nie wykonany, głównie dla braku środków materyalnych. Walkę przeciw pijaństwu radzi J. Ch. zacząć od młodego pokolenia. W tym celu nie powinno się dzieciom dawać żadnych napojów alkoholicznych, także nie pić w ich obecności i nie posyłać ich po wódkę do karczem. W[illegible] stępował także przeciw brzydkiemu z[illegible]

czajowi częstowania robotników, służącym itd. mówiąc: „Robotnik daje nam pracę, a my podajemy mu w zamian truciznę“. Podług zdania J. Ch. pijaństwo było jedną z głównych przyczyn upadku Polski a i dotychczas nie może się z powodu tej klęski dźwignąć. „Jutrzenka“ istnieje dotychczas w Poznaniu. Prezesem jest X. Kościelski a wiceprezesem Stefan Chociszewski, brat Józefa. Szersza publiczność ma cenić zasługi J. Ch., tylko z jego wydawnictwa, gdy tymczasem on sam mniema, że jeżeli wogóle położył jaką zasługę, to najważniejszą jest jego praca w sprawie wykorzenienia pijaństwa i karciarstwa. Ale obojętność klas wyższych i brak poparcia nie zdołał wprawdzie osięgnąć wielkich i w oczy bijących skutków, przecież osięgnął pewien wpływ i dał początek ruchowi, który z czasem może przybrać wielkie i zbawienne dla naszego narodu rozmiary. Pijaństwo jest także w innych krajach rozpowszechnione, ale tam nie



**Trzej Królowie składają dary.**

wywiera tak szkodliwego wpływu, jak u nas, pod względem dobrobytu, gdyż skoro np. Francuz majątek przepije, dorabia się inny Francuz, a u nas Polak przepije, przeciwnik zarabia. Handel spirytusem, winem, wyrób piwa, likierów itd. jest w ręku obcych z małemi wyjątkami.

Zasługa to także Józefa Chociszewskiego, że starał się zachęcać rodaków do bliższego zajęcia się sprawami słowiańskiemi. W tym celu wydawał dwa pisma w Poznaniu tj. „Lecha“ (w latach 1878 i 79) i „Przegląd Słowiański 1881 Wydawnictwa te upadły dla braku duchowego i materyalnego poparcia rodaków. Zdaniem J. Ch powinni Polacy starać się o ścisłe połączenie z pobratymcami narodowymi słowiańskimi. Niejednokrotnie z powodu tych usiłowań spotkał go zarzut, że jest moskalofilem, że sprzedaje Polskę Moskwie itd.

J. Chociszewski oprócz „Gwiazdki Cieszyńskiej“, był redaktorem następujących pism: „Nadwiślanin“ i „Przyjaciel Ludu“ w Chełmnie (1862 i 63 r.) „Katolik“, „Piast“, „Przyjaciel Dzieci i Młodzieży“ (od 1869 do 1873), „Lech w Poznaniu (1878 i 79), „Przegląd Słowiański“, „Staszyc“ (pół roku), „Gawędziarz Poznański“, „Dziennik Kujawski“ (od 1. 5. 93 do 1. 10. 95), „Lech“, „Gazeta Gnieźnieńska“ (od 1895 do 1896 i w 1897 r.) Oprócz tego krótki czas pracował w „Dzien. Poznańskim“, w „Kuryerze Pozn.“ i w Wielkopolaninie“.

Książek i broszur ogłosił J. Ch. drukiem przeszło 300, które się rozszerzyły w przeszło 3 milionach egzempl. a przytem jako księgarz rozszerzył około dwa miliony innych książek. Najważniejsze prace J. Ch. są historyczne w celu szerzenia znajomości dziejów narodowych. Z tych najważniejsze „Dzieje Narodu Polskiego„ dla młodzieży z obrazkami, które się doczekały 7 wydań w 60,000 egzempl. Jest to rodzaj encyklopedyjki narodowej, gdyż oprócz treściwej historyi polskiej wierszem i prozą zawiera wiadomości z geografii i piśmiennictwa polskiego, a nawet łamigłówki z dziejów Polski.

„Historya polska w pięknych przykładach„, 2 wydania. — Piśmiennictwo Polskie w życiorysach“ dla ludu, 3 wydania. — „Malowniczy opis Polski“, 2 wydania. Jest to pierwsza polska geografia, uwzględniająca także nowsze czasy. O podobne przedsięwzięcia kusili się, ale na większe rozmiary, Kraszewski i Syrokomla, ale nie dokonali zamiaru. — Dzieje Polski porozbiorowe“ większe i mniejsze są pierwszą pracą na tem polu. Później dopiero powstały podobne wydawnictwa — „Sobieski pod Wiedniem“, broszura na obchód dwóchsetnej rocznicy zwycięztwa wiedeńskiego, wyszła w 90,000 egz. Oprócz tego: „Jan III Sobieski, jego życie i czyny“, 2 wydania i książeczka o Sobieskim dla dzieci polskich. „Książeczka o Kościuszce dla dzieci polskich“ w 3 wydaniach.

Józef Chociszewski był także pierwszym, który zaczął wydawać tanie podręczniki z narodowemi piosnkami. Wymieniamy niektóre zbiory: „Piosnki, dumki i arye“ narodowe w 1872 r. „Wybór pieśni narodowych“, 2 wydania. „Bukiet pieśni światowych“, 5 wydań. „Piosennik Jutrzenki“, zawierający piosnki potępiające pijaństwo i karciarstwo. Pieśni i piosneczki dla dzieci“ zawierają 100 śpiewek, a kosztują tylko 15 fen. Wydawnictwa te wywołały kilkanaście przedruków i naśladownictw.

Ułożył też Ch. kilka książek do nabożeństwa i religijnych, a mianowicie „Ołtarzyk Polski“, „Książeczkę do nabożeństwa“ — „Wybór nabożeństwa dla dzieci“, Pielgrzymka do miejsc cudownych“, „Żywoty Świętych“, „Służebnica Boga“, Modlitwa na Jasnej Górze“ itd. Wyszły te książki w obcym nakładzie, dlatego trudno podać dokładną liczbę drukowanych egzpl., można jednakże przyjąć, że wyszło może milion odbitek.

Elementarze: „Pociecha dla dzieci“, — „Książeczka abecadłowa o zwierzętach“, „Elementarzyk.“ Przeszło 20.000 egzemplarzy.

Listowniki: „Podręcznik do pisania listów“, „Listownik“, „Mały Listownik dla dzieci.“

Z książek dla dzieci wzmianki godne: „Powiastki i opowiadania dla młodego pokolenia.“ 2 części — „Wesoły Czarodziej.“ „Powieści i podania ludowe.“ — „Książeczka o zwierzętach z 50 obrazkami. „Bajki i powiastki dla dzieci.“ — Złota książeczka o IV Bożem przykazaniu itd. Wydał też 20 roczników kalendarza „Piasta“ w przeszło 100.000 egz. Oprócz tego „Leszek“, kalendarz dla dzieci. — „Polski Kalendarz Katolicki“, 2 roczniki. — „Wiarus“ — kalendarz polsko-katolicki.

W ostatnich czasach zajął się Chociszewski układaniem sztuk teatralnych dla ludu i młodzieży. Wyszły: „Dwie komedyjki dla dzieci“ „Miła zabawa dla dzieci po nauce.“ „Cztery dramaciki na tle dziejów czesko-morawskich“, „Rozrywka po pracy w dni świąteczne.“ Obecnie jest na ukończeniu „Scena Ludowa. Zbiór łatwych dramacików, komedyek, krotochwil, monologów, dyalogów, stosownych na przedstawienia domowe, podczas wesół, imienin, majówek, wieńców itp., uroczystości rodzinnych, oraz dla teatrów amatorskich. Znajduje się tu 37 sztuk teatralnych i 18 wierszy. „Scena Ludowa“ ma za pomocą żywego słowa zachęcić lud i młodzież do pracy, oszczędności, do poznawania języka ojczystego itd.

Oprócz tego kilkadziesiąt podobnych utworów spoczywa w rękopisie, a mianowicie dramaciki na tle przeszłości, mające na celu naukę dziejów Polski.

Wspomnieć też wypada o dziełku: „Kilka uwag o oszczędności.“ Jest to pierwsza oryginalna praca w języku polskim o oszczędności.

Niemałą zasługą J. Ch. jest zaprowadzenie rycin do dziełek, co się przyczyniło do ponętności.

Usiłowania te J. Ch. nie podobały się rządowi pruskiemu, dlatego wytoczono Chociszewskiemu przeszło 30 procesów prasowych, których wynik był taki: zakazano druku kilkunastu książek, skonfiskowano za kilka tysięcy marek druków, nałożono grube kary pieniężne i więzienne. Chociszewski przesiedział 4 i pół roku w więzieniu. Jest to główna przyczyna, że położenie finansowe Chociszewskiego jest niepomyślne. Oprócz tego przyczyniły się do tego liczne przedruki i naśladownictwa dzieł Chociszewskiego. W Ameryce przedrukowano nieprawnie około 50 książek.

Najboleśniej przecież dotknęło Chociszewskiego rozporządzenie Rady szkolnej Krajowej Galicyjskiej, która nietylko zakazała w szkołach używania „Dziejów Nar. Pol.“, ale także wycofała tę książ-

kę z bibliotek szkolnych. Przyniosło to znaczny uszczerbek w dochodach, ale najbardziej bolał Chociszewski, że taka poważna instytucya polska zamiast uznać szlachetne usiłowania potępiła je, jako szkodliwe. Chociszewski uważa to za najdotkliwszy cios w swem życiu. Nie brakło i innych zaczepek i prześladowań, niesprawiedliwych krytyk itd., ale ich doniosłość jest niewielką w porównaniu z zakazem rady szkolnej krajowej.

Ale uznanie to nie jest niepodzielne i wyłącznie do osoby Chociszewskiego przywiązane. O znamiennych cechach domu i codziennego życia naszego stanowi żona.

Pani Chociszewska, rzadkiej szlachetności uczuć niewiasta, odznacza się przedewszystkiem cichością w rodzaju tej, której Chrystus błogosławi. Nigdzie jej w domu nie słychać i nie widać, lecz myśl i pracę jej czuć na każdym kroku. Dom pp. Chociszewskich wystawny — dla głodnych i potrzebujących. Sami nie wiele posiadając, dzielą się ostatkiem z biedniejszymi, a na obiedzie, czy przy wieczerzy nigdy nie braknie jednej z tych istot, którym los odmówił i ojca żywiciela i przewodnika w życiu. Tylko tak wybitne przymioty ducha i serca, jakiemi pani Chociszewska się odznacza, zdolne są pełnić funkcye dobroczyństwa wobec osób częstokroć wysoce godnych, a wykolejonych bez narażenia na upokorzenie. Sędziwa ta pani jest nieocenionem dopełnieniem zasłużonego naszego pisarza ludowego i nie będzie to z ujmą dla niego, gdy powiemy, że bez niej nie byłby Chociszewski tem czem jest.

*Lech.*



**Kacper, Melchior, Baltazar.**

## Syn kmiecia z Marzenina pod Wrześnią profesorem w akademii krakowskiej.

I.

Pomiędzy miastami wielkopolskiemi, Wrześnią a Czerniejewem, leży wieś kościelna Marzenin, w której około 1550 r. mieszkał kmieć Grzegórz Twardy z żoną Katarzyną. Urodziło im się troje dzieci: tj. najstarszy syn Stanisław, córka Agnieszka i Wojciech. Rodzice byli bardzo bogobojni, dlatego wychowywali dzieci w bojaźni Bożej, zachęcając je ze wszech sił do zamiłowania cnoty. Ich usiłowania odniosły pożądany skutek, gdyż dzieci były pobożne, skromne i pracowite. Mianowicie najstarszy syn Staś odznaczał się nie tylko wielką pobożnością, ale zarazem niezwykłym dowcipem i pamięcią.

Razu pewnego zawitał pod strzechę Twardych zakonnik z Poznania. Uwagę jego zwrócił ośmioletni Stanisław, gdyż dawał nader bystre odpowiedzi. Zakonnik dla tej przyczyny tak się odezwał do matki:

— Wasz Staś dzielny chłopiec i zdaje się, że z niego mógłby być znakomity człowiek.

— O mój Jezu i Ty, Matko najświętsza, słynąca cudami w Kolniczkach, adyć mój Staś to czysty anioł. A wciąż mi gada, że chciałby być księdzem. Ale gdzież nam biednym kmieciom myśleć o tem, aby go oddać do szkół uczonych. Ach! mój Boże kochany, cobym ja dała za to, żebym mogła widzieć mego Stasia w kapłańskich szatach.

— U Boga wszystko jest podobne, odrzekł zakonnik, już ja będę pamiętał o waszym Stasiu, ale niech zmówi przedewszystkiem pacierz.

Chłopczyna uklęknął skromnie i zmówił pacierz uważnie bez najmniejszej omyłki, a mówił tak serdecznie i z takiem przejęciem, że zakonnik łzy miał w oczach. Po małej chwili powstawszy, wymówił te słowa:

— Ciesz się, matko szczęśliwa! syn będzie miłym Bogu i ludziom, a bie, poczciwa niewiasto, sprawi wiel pociechę. Będzie się z niego ciesz Kościół święty i nasza Ojczyzna Polsk

Poszedł zaraz zakonnik do księ proboszcza w Marzeninie i zwrócił uwagę na utalentowanego chłopca. Proboszcz kazał przychodzić Stasiowi do siebie, aby go nauczyć czytać, pisać i p łacinie. Chłopczyk czynił zdumiewają w naukach postępy. Wkrótce służył d mszy ś., a tak pięknie i uroczyście od powiadał kapłanowi po łacinie, że cał parafia spoglądała z radością na młodziutkiego ministranta.

Po kilku latach został Staś Twardy oddany do Poznania, gdzie uczył się bardzo pilnie w wyższej szkole, założonej przez biskupa Lubrańskiego. Dostatecznie przysposobiony, udał się 20-l młodzieniec do Krakowa.

II.

Wielka uroczystość odbywała w Krakowie 1580 r. Na uroczystem siedzeniu senatu w obecności króla fana Batorego wystąpił uczony kapł aby udowodnić, że Papież jest praw następcą Piotra św., zatem wszyscy tolicy powinni być posłuszni głowie ścioła świętego. Mówca wyłuszczał z czątku rzecz swą spokojnie, niejako zapału, ale stopniowo głos się podnos i zapalał. Mowa była wygłoszona po łacinie, ale, że to był język powszechn w Polsce w wyższych stanach używ przeto słuchacze rozumieli dobrze somówcę, który w końcu swego jędrn przemówienia wzbudził powszechny za pał. Wszyscy senatorowie powstali z swych siedzeń, a nawet król podniós się z tronu. Najwięcej był zachwyco wymową znakomitego kaznodziei wie Jan Zamojski, mąż, odznaczający się tylko dziełami wojennemi, ale także miłowaniem nauk. Skończyło się na niec świetne przemówienie, a wtedy prz kilka minut zaległa cisza na rozleg sali, poczem zabrzmiały rzęsiste okla i odgłosy uwielbienia. Przystąpią bisk do mówcy i dziękują mu serdecz za obronę władzy papiezkiej; podał t że swą prawicę Jan Zamojski, a w k cu sam król Batory złożył podziękow nie i ozdobił kapłana złotym łańcuch

Któż to jest ów mówca zawołan który ognistą przemową zachwycił sł chaczy? Jest to słynny profesor akad mii krakowskiej. Przypatrzmy mu bliżej a przekonamy się, że tym sła nym nauczycielem i krasomówcą je Stanisław Twardy, syn kmiecia z Marz nina pod Wrześnią.

Obdarzony znakomitemi zdolnościami, odznaczając się wielką pilności w naukach, zajaśniał Stanisław pomi dzy studentami akademii krakowski Poświęcał się głównie nauce filozo i teologii. Wyświęcony na kapłana, uz skał stopień doktora i magistra teolog. przytem uzyskał wielki rozgłos jako p eta i znakomity mówca. Władał biegl nietylko językiem łacińskim, ale tak greckim i hebrajskim.

Dotychczas znajduje się w bibliotec jagiellońskiej w Krakowie rękopis, wierający uczone prace dr. Stanisław z Marzenina. Mianowany profesorem zachęcał młodzież do nauk, wykładają

...gią. Sława uczoności naszego rodaka doszła nawet do Rzymu, dlatego powierzono mu obronę twierdzenia, że papież jest następcą Piotra św. i widomą głową Kościoła.

III.

Przenieśmy się myślą do Marzenina

Tu po wyjeździe Stanisława zaszły znaczne zmiany. Ojciec jego Grzegórz zachorował i umarł, siostra Katarzyna wyszła za mąż, a brat Wojciech objął gospodarstwo rodzicielskie. Sędziwa matka, która pierwsza rzuciła nasiona cnoty w serce syna, tęskniła za ukochanym Stasiem, a co dzień błagała Boga, aby przed śmiercią mogła choć raz widzieć drogiego syna, ozdobionego suknią kapłańską. Przychodziły wprawdzie od czasu do czasu listy z Krakowa od księdza Stanisława, ale listy te jeszcze bardziej budziły w sercu staruszki chęć ujrzenia pierworodnego syna.

Po długiej zwłoce nadeszła nakoniec żądana wiadomość z Krakowa, że ksiądz Stanisław w niedługim czasie zawita do Marzenina.

Któż opisze radość uszczęśliwionej matki? Co dzień wychodziła na wzgórek, by spoglądać na drogę ku Wrześni. Dzień za dniem mijał, a kochanego Stanisława nie widać.

Razu pewnego widzi Grzegorzowa, że od Wrześni toczy się olbrzymia bryka, na której widok żywiej jej serce zabiło. „Stój“, odezwał się głos silny z bryki, a wnet wyskoczył z niej podróżny, który padłszy na kolana, zawołał rzewnym głosem: „Matko!“. „Synu“, zabrzmiała odpowiedź, a potem nastąpiło serdeczne powitanie po długiej rozłące.

Bryka potoczyła się przed chatę gospodarza Wojciecha, a wnet cała wieś zbiegła na powitanie dostojnego gościa. Trudno opisać radość, jaka zapanowała w cichym zawsze Marzeninie.

Ksiądz dobywał z bryki książki, obrazki i różne pamiątki, obdarzając mieszkańców. Matce ofiarował piękny obraz Matki Bozkiej Częstochowskiej, oraz sztukę pięknego płótna i sukna. Udarował także hojnie rodzinę brata Wojciecha i siostry Katarzyny. Niedługo udał się na plebanią, niosąc misterną skrzynekę.

Nazajutrz w niedzielę odbyła się wielka uroczystość w skromnym kościołku marzenińskim. Ani połowa ludzi nie mogła się pomieścić w wiejskiej świątyni. Ksiądz Stanisław odprawił mszą św. na podziękowanie Bogu, że pozwolił mu osięgnąć godność kapłańską i że dożył tej łaski, aby zobaczyć matkę, rodzeństwo, wioskę rodzinną i kościół, gdzie przyjął chrzest święty. Po mszy świętej przemówił do zebranego ludu, zachęcając ojców i matki, aby chowali troskliwie młode pokolenie, zachęcając słowem i przykładem do pracy, nauki i cnoty. Przemówienie było tak wzruszające, że wszyscy płakali.

Następnie odezwał się ksiądz proboszcz, oznajmując ważną nowinę, że ksiądz Stanisław ofiarował piękny kielich do kościoła w Marzeninie, oraz 500 złotych polskich na potrzeby kościoła i 500 złotych na założenie szkółki. Wtem zabłysnął złocisty kielich w ręce mówiącego. Na wezwanie, aby się modlić za dobroczyńcę, nastała cisza w kościele, jakby makiem zasiał. Wszyscy zebrani modlili się szczerze do Boga, a modlitwa prostaczków płynęła do niebios niby woń z kadzielnicy ofiarnej.

Ksiądz Stanisław zabawił przez cały tydzień w rodzinnej wiosce, przebywając z największem zadowoleniem w rodzinnej chacie.

Kielich, ofiarowany przez niego do kościoła marzenińskiego, był w używaniu do 1656 r., kiedy Szwedzi napadli na Polskę. W tym roku zakopano w ziemi tę pamiątkę, aby ją ocalić przed łupieżcami, a dopiero 1871 r. odszukano w ogrodzie proboszczowskim tę ofiarę wdzięcznego księdza Stanisława.

Oceńcie sami, mili Czytelnicy, czy było tak źle w dawnej Polsce, jak piszą nasi nieprzyjaciele, jeżeli była sposobność, że synowie kmieci dostępowali wysokich w kraju godności?

*Józef Chociszewski.*

## Kolenda

na dzień Świętych Trzech Króli.

Aniołek biały, w szacie różanej
Błysnął pastuszkom jasnością,
A był zwiastunem wieści żądanej,
Serca im natchnął miłością;

I poszli spiesznie, poszli bez zwłoki
Ku betlejemskiej stajence,
I gdzie w jaskini żłobek głęboki,
Zastali w białej sukience:

Dzieciątko małe, co z krain nieba
Zstąpiło tutaj na ziemię,
By nas nauczyć, jak żyć potrzeba,
I cierpień znosić swych brzemię.

Chrystus człowiekiem i Bogiem razem,
Przyniósł nam prawdy nasienie,
Zasmucił strasznej śmierci obrazem,
Ale otworzył zbawienie.

W żłobie ubogim leżał spowity
Lecz światłość jasna u czoła,
Uroczo lśniła, jak puch rozwity
Śnieżystych skrzydeł anioła.

A przy nim Maryi Najświętsze lica
Ćmiły swym blaskiem koronę,
Jak w Jeruzalem Pańska świetlica,
Płonęło serce barwione.

Ołtarz pokory i wiary czystej
Stroił wianuszek liliowy,
Miłość jak kryształ duszy przejrzystej
U stóp złożyła Jehowy.

A taka jasność z jej oczu biła,
Że aż płomyczek światłości
Padł nam na dusze i myśl wstąpiła
Wiary, nadziei, miłości.

I dziecię Jezus się uśmiechało,
Widząc jak Maryi spojrzenie,
Już odkupienia zaczyna dzieło,
Z dusz nam strącając chmur cienie.

Więc Józef ukląkł i święte pienia
W granie zanucił pasterzy,
I czysty posłał głos dziękczynienia
W górę zkąd światłość ta bieży.

A tam od wschodu gwiazdy promienie
Trzech królów wiodły do Pana,
Szli, by oglądać świata zbawienie,
Gdzie jasność łaski rozlana.

Pokłon i cenne przynieśli dary,
Lecz milsze Panu nad złoto,
Były ich serca czyste ofiary,
Które złożyli z ochotą.

A wiara boska, jak strumień zdrowy,
Jak balsam czysty, proroczy,
Myła zbrudzone serca i głowy,
I ciemne przejrzały oczy.

A w serca królów wierzących wiernie,
Wstąpiła siła nieznana,
By mogli znosić żywota ciernie,
Nim staną przed tronem Pana.

Pokłon dziś, pokłon złóżmy Jehowie,
Za Zbawiciela zesłanie;
A może jasnych stref aniołowie
Usłyszą nasze wołanie!

Modlitwy słowa w hymny przetworzą,
Myśli w pobożnych dusz pienia,
Serca rozbudzą jasnością Bożą,
Co czystą wiarę spromienia.

*K. B.*

## Nowe lato.

Tobie bądź chwała Panie wszego świata;
Żeś nam doczekać dał nowego lata;
Daj, byśmy się i sami odnowili,
Grzech porzuciwszy, w niewinności żyli.
Łaska Twa święta niechaj będzie z nami,
Bo nic dobrego nie uczynim sami:
Mnóż w nas nadzieję, przysporz prawej wiary;
Niech uważamy Twe prawdziwe dary.
Użycz pokoju nam i świętej zgody,
Niech się nas boją wrogie nam narody,
A Ty nas nie chciej odstępować Panie;
I owszem, racz nam dopomagać na nie.
Błogosław ziemi z Twej szczodrobliwości,
Niechaj nam dawa dostatek żywności,
Uchowaj głodu i powietrza złego:
Daj wszystko dobre z miłosierdzia swego.

*Jan Kochanowski.*

## Jeszcze Polska nie zginęła!

*Wiersz lorda Strafford Redcliff, ambasadora Wielkiej Brytanii u Porty Otomańskiej, napisany w listopadzie 1856 r. po zawartym pokoju paryzkim).*

Kiedy los Polskę na zabój ugodził,
I dzwon pogrzebny już lament rozwodził
Z domu do domu, i z grodu do grodu;
Im ostateczne tchnienie wyzionęła —
Ktoś się tam ozwał: Jeszcze nie zginęła!
Nie! nie zginęła! — szło echo narodu.

*Nie, nie zginęła!* — Tylko lica zbladłe
I oczy krwawem czuwaniem zapadłe,
Znoszonych tortur wyjawiają znoje.
Krzywda bez pomsty, siła bez oręża —
Tętno w niej życia gwałtownie natęża:
Cierpieć, czy rwać się we dwoje.

Skazan pod obce, na tułactwo, nieba,
I wstydną rękę wyciągać dla chleba,
Gieniusz nawet styran bez zasobu.
Próżno im z kraju złoty łańcuch świeci
Zabójczą łaską. — Wierne ojcom dzieci
Przysięgę serca szanują do grobu.

Gdy wrzask wojennej trąby razi strachem,
W gmachach bogaczów i pod wiejskim dachem,
Dla nich w tym wrzasku: nadzieja i życie.
Gdziekolwiek grzmiący bitwy huk zawita,
Chwytają głos ten sercem — tak jak chwyta
Wołanie matki zabłąkane dziecię.

Co to za rozpacz! gdy zerwan piorunem
Sztandar zwycięztwa spadał im całunem
Na trup nadziei, w ostatnim jej blasku!
Miotaj się żwawo na mordy i blizny,
Rzucaj kotwicę, ratunek ojczyzny! —
W linę jej ufaj — a ta lina z piasku.

Błogosławiony, komu nieba dały
Dzierzyć ojczyznę w pełni sił a chwały,
Ołtarz bez kaźni, miecz groźny, dom wolny!
Od swych ołtarzy i z domu wyrwany,
Rozbitek gwałtów, w zimny świat zawiany
Biedny wygnaniec! cierpieć chyba zdolny.

Oj! jak im trudno, lecz jak pięknie świecić!
W imię tułactwa święty ogień niecić,
Którym ich ojców pochodnia płonęła!
Gdy na kraj jarzmo i łańcuch wróg wsadza,
Gdy łży i dławi — a świat martwy zdradza,
Z przepaści świadczyć: Jeszcze nie zginęła!

Nie, nie zginęła! — Pod temi kirami
Wdowiej miłości napawa się łzami,
Hartując duszę nieznającą trumny!
Naród choć w pętach, toć umrzeć nie może,
Gdy na te pęta......
Swięty rozpaczą, wstydem nawet dumny.
. . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . .

*Karol z Kalinówki.*

## Ostatnie chwile
## *Juliusza Słowackiego.*

W końcu roku zeszłego w kościele Św. Krzyża w Warszawie, odbyło się odsłonięcie i poświęcenie tablicy marmurowej z wizerunkiem Juliusza Słowackiego, ufundowanej przez p. Halinę z Belinów Leszczyńskich, Tokarzewską. Akt ten odbył się solennie. Do hołdu uroczystego, złożonego genialnemu wieszczowi, łączy głos swój i „Praca“, streszczając według Krasińskiego, Goszczyńskiego, Felińskiego, Małeckiego, Chmielowskiego i Hoesicka, ostatnie chwile twórcy „Króla-Ducha“ i tylu innych arcydzieł.

* * *

Rewolucya lutowa w Paryżu, w roku 1848, wywołała odgłos i w innych krajach. Wielu emigrantów polskich opuściło stolicę Francyi, zmierzając ku W. Ks. Poznańskiemu. Słowacki przybył również tu dotąd, celem rozwinięcia na gruncie wielkopolskim idei „konfederacyi“, rzuconej przez siebie na zebraniu Polaków 19 marca t. r. Rząd pruski wydalił emigrantów. Słowacki powróciwszy do Paryża, zapadł na zdrowiu. Wątły ciągle, miewał teraz częste krwotoki. Gdy dnia 3 kwietnia młody podówczas wielbiciel wieszcza, Zygmunt Szczęsny Feliński, późniejszy arcybiskup warszawski, wstąpił na Rue Pontie, żeby zapytać Słowackiego, kiedy się chce spowiadać, dowiedział się od Karola Pettiniaud, że wieszcz źle noc spędził; że o 10-tej z rana zemdlał nawet. Feliński pośpieszył do łoża poety. Zastał go przytomnym, ale bardzo osłabionym.




**Tablica pamiątkowa w kościele św. Krzyża w Warszawie.**

— Cóż ks. Praniewicz? — zapytał Felińskiego. — Radbym jak najprędzej obrządku religijnego dopełnić.

Feliński w pół godziny sprowadził żądanego kapłana, ten zaś widząc, że już źle, udał się do kościoła po Sakramenta. Wtedy portier Millet przyniósł Słowackiemu list od matki. Na widok drogiego pisma, rozjaśniło się znękane oblicze poety, lecz nie mógł już sam rozłamać pieczęci ani odczytać listu. Feliński go wyręczył; gdy skończył czytać, Słowacki, ująwszy go za rękę, rzekł z rozrzewnieniem:

— Powiedz mojej matce, że nic do niej nie pisałem, bo tych rzeczy pisać nie można; ale szczęśliwy jestem, że dziś, jakby na pożegnanie, list jej odebrałem i z myślą o niej umieram. Jaki Bóg dobry, że mi przed zgonem daje tu jeszcze tę wielką pociechę: pożegnanie i błogosławieństwo matki.

Umilkł, a po chwili dodał uroczyście:

— Wiara w nieśmiertelność ducha i w sprawiedliwość Bożą jest nowym darem Stwórcy, nam udzielonym. Ta wiara nam pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Dotąd przeczuwano, że Bóg jest sprawiedliwy, ale nie pojmując Jego sprawiedliwości, przypuszczano istnienie mnóstwa różnych kółek, za których pomocą Bóg wynagrodzi kiedyś niesprawiedliwość i cierpienia żywota. Ale ja dziś ufam w sprawiedliwość Bożą, bo ja ją pojmuję; tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stosownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką dziś oddaję go w ręce mego Stwórcy. Wszak prawda? Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie: czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym, miejskim domku, czy we własnym dworze — przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi.

Spowiedź rozpogodziła i pokrzepiła wieszcza nieco; mówił do przyjaciół:

— Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta; często myślałem o tem, czy też tej łaski dostąpię.

Wypił trochę herbaty, chciał spocząć, ale nie mógł. Dano mu czerwonego wina, lecz to z trudnością już łykał. Potem zaczął objaśniać Felińskiego, jak należy przepisywać z brulionu drugi rapsod

„Króla Ducha", nie dokończył jednak i szepnął z uśmiechem:

— Wszystko to głupstwo...

Długo potem milczał, nagle odezwał się...

— Rzeczy cenniejsze i rękopisy odesłać Teofilowi, odzież i bieliznę rozdać ubogim, listy prywatne spalić.

Tu zrobił znak, że chce wstać, lecz kiedy go przyjaciele unieśli na posłaniu, zaczął drżeć mocno na całem ciele, a czoło nadzwyczaj obfity pot mu okrył. W chwilę już nie żył. Była to godzina 4-ta rano, dzień 4-go kwietnia.

Pogrzeb odbył się we 24 godziny po zgonie, jak wymagały przepisy ówczesne. Skromny, dwukonny karawan 9-tej klasy, otoczony nielicznym orszakiem najbliższych znajomych poety, odwiózł zwłoki jego do kościoła św. Filipa du Roule, a po nabożeństwie żałobnem, na cmentarz Montmartre. „Żadna mowa pożegnalna — skarży się arcybiskup Feliński — żaden jęk głośny lub niewieście łkanie, nawet rodzinny nasz *Anioł Pański* nie ozwał się na tem wzgórzu cmentarnem, tylko grudki ziemi, ręką życzliwych sypane, głuche echo wywoływały z trumny, mieszając się z ponurym śpiewem kapłana: *„Requiescat in pace!"*

Mickiewicz, w redagowanej przez siebie *La Tribune des peuples*, pomieścił o zgonie Słowackiego tylko pięciowierszową, do podziwu obojętną wzmiankę. Za to gorąco się odezwał *„Czas"* krakowski i Roman Zmorski w *„Stadle."* Krasiński napisał w liście poufnym do Małachowskiego te słowa:

„Biedny Juliusz Słowacki umarł ze suchot. Praniewicza kazał zawołać, Sakramenta przyjął, z wielkim spokojem odszedł, mówiąc: *Czas już ten łachman zrzucić i pójść tam!* Na pogrzebie Mickiewicz się nie pokazał, tylko ze 30 ziomków; lecz żaden nie przemówił. Zresztą mów nie potrzeba człowiekowi, którego imię przetrwa, dopóki języka polskiego stanie. Towianizm zaś wyraźnie go dobił." Jednocześnie prosił Gaszyńskiego, żeby się dowiedział, czy Słowacki nie zostawił wiadomości, co do nagrobku: „Jeżeli nie, to połóżcie mu napis: *Autorowi Anhellego*, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na przyszłe pokolenia."

Słowacki, zdaniem Chmielowskiego, niema tego przywileju, co geniusz Mickiewicza: nie jest dla wszystkich. Umysły zanadto rozsądkowe i trzeźwe, nie zdolne do wysokich wzlotów fantazyi, nie lubiące chwilowego nawet przebywania w „krainie złudy;" serca zbyt proste, dalekie od wszelkiego wyrafinowania uczuć; charaktery pochopne jedynie do cenienia czynów w swykłem znaczeniu tego wyrazu, a nieufne względem wszystkiego, co „ideologią" nazywają — nie znajdą prawdziwego, głębokiego i szczerego zadowolenia w większości utworów Słowackiego. Bo z takich to przeważnie ust wypłynęła jego charakterystyka, igrająca z nazwiskiem, jako „poety słowa", to jest poety odznaczającego się głównie i przedewszystkiem barwnością, giętkością i subtelnością wyrazu, nie zaś treścią i duchem. Potem dodano, ze stanowiska artystycznego, że był największym „kolorystą" wśród naszych poetów.

To nie dosyć. Słowacki jest poetą dusz tkliwych i wrażliwych jak płatki mimozy, dusz chwiejnych i nie osiągających prawie nigdy równowagi duchowej, a ztąd skłonnych do krańcowości— serc czułych i tkliwych, a jednak rozmyślających nad swemi uczuciami, wyobraźni nieco chorobliwych, lecz żywych i błyskotnych, charakterów może zanadto sobą zajętych w zwykłym trybie życia dlatego, że w otoczeniu swojem nie widzą duchowego pokrewieństwa. Pewne tony uczuciowe on tylko jeden, z wielkich poetów naszych, umiał wydobyć z lutni i pod względem nastroju daleko jest bliższy czasom naszym, niżeli Mickiewicz — ztąd liczni jego naśladowcy w młodem pokoleniu.

Słowacki był impresyonistą poniekąd zawsze, ale więcej ulegał wrażeniom wyczytanym w książkach, niż zaczerpniętym w życiu realnem. Widać to zarówno w jego młodzieńczych tworach, gdy Byron, Chateaubriad, Dante, Aryost i inni byli jego ulubieńcami, jak i wówczas, gdy pod wpływem nauk mistycznych z jednej, a dramatów Kalderona z drugiej strony, zdawało mu się, że stenografuje natchnienia duchów. Fantazya lotna jak myśl, gibka, zwrotna i barwna jak koliber, bogata jak przyroda, z sercem wrażliwem nadmiernie, z umysłem nadzwyczaj pochwytnym — oto najważniejsze żywioły jego genialnego talentu.

*M. Synoradzki.*

## Sylwetka.

Podajemy poniżej sylwetkę kobiety, która szlachetnością swych dążeń, miłością dla rzeczy godnych ogólnej czci i poważania, oraz wytrwałością w urzeczywistnieniu podniosłych idei, wystrzeliła wysoko po nad zwykły poziom i dała przykład z siebie, jak należy spełniać swe obowiązki względem społeczeństwa, jak się powinno szanować pamięć wielkich ludzi, których promienny blask geniuszu rozprasza mroki w duszach pokoleń całych, czego wreszcie można dokonać małemi środkami, jedynie energią i wytrwałem dążeniem do ukochanego przez siebie celu

Taką kobietą jest Halina z Belinów Leszczyńskich Tokarzewska, a dziełem jej — tablica pamiątkowa dla Juliusza Słowackiego wmurowana w kościele Sw. Krzyża w Warszawie i w końcu r. z. poświęcona.

Jeżeli dokumentowanie każdego donioślejszego faktu, każdego zdarzenia wpływającego choć troszkę na tor życia ogólnego, należy do obowiązków dziennikarskich, o ileż ten obowiązek staje się przyjemniejszym do spełnienia, gdy jak w danym razie, chodzi o uwydatnienie czynu, spełnionego nie dla rozgłosu i reklamy, lecz w imię umiłowanej idei i czci dla jednego z wielkich naszych duchów poetyckich.

Halina Tokarzewska nie jest obca szerokim kołom towarzyskim Syreniego grodu, od dłuższego bowiem czasu prowadzi szkołę malarską dla kobiet, zkąd wyszła już niejedna pożyteczna pracownica na polu przemysłu artystycznego. Po stracie męża, Szymona Tokarzewskiego, którego wielokrotnie wspomina Dostojewski w swoich „Zapiskach", jako dzielnego i zacnego towarzysza wspólnie spędzonych chwil, oddała się całkowicie pracy umysłowej i rozwojowi szkoły, a utworami swego pióra zasilała łamy „Tygodnika Ilustrowanego", „Kroniki" i Wieczorów rodzinnych". Wychowana w czci i kulcie dla wielkiej trójcy poetów, umiłowała szczególniej Słowackiego który płomienną fantazyą swego geniuszu działał potężnie na wrażliwy umysł młodego dziewczęcia. Był on dla niej wyrocznią, bożyszczem, pragnęła, aby wespół z nią podziwiał go cały naród i bolała ją pozorna przynajmniej obojętność ogółu dla pamięci genialnego poety. To też odczuwając głębiej od innych brak w Warszawie jakiegokolwiek dowodu, będącego plastycznym wyrazem hołdu dla nieśmiertelnego twórcy „Króla ducha", zakrzątnęła się energicznie około wmurowania tablicy pamiątkowej w kościele Sw. Krzyża i dziś, patrząc na nią, może z dumą powiedzieć: „Oto moje dzieło." I istotnie jej to zasługa wyłączna i w tym wypadku wyręczyła całe społeczeństwo w spełnieniu obowiązku, ciążącego na niem.

Dzielna kobieta! *W.*

## Złote myśli.

Ducha nie zwyciężysz ani srogiemi prawami, ani więzieniem, ani torturą. Prześladowanie łamie słabe dusze, silne utwierdza w uporze przeciw niesprawiedliwości. *Kraszewski.*

* * *

Nic tak nie zyskuje serca mężczyzny jak pewność, że jest kochany.

*Sienkiewicz.*

* * *

Gdzie wódz odważny sam kroku dostoi
Tam żołnierz chętny śmierci się nie boi

*Krasicki.*

# KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

**F. de B.**

(Ciąg dalszy.)

Taka odpowiedź przejęła zdziwieniem, już nietylko naczelnika. Piédouche drgnął, twarz mu się wydłużyła.

— Jakto! pan jesteś synem p. Lecoq, byłego kupca! — podchwycił szef policyi. — Pana Lecoq de Gentilly, zamieszkałego od lat dziesięciu w domu, który pan wymienił?

— Tak panie.

Pański ojciec jest człowiekiem szanowanym. Znam go dobrze i obiecuję panu, że pójdę do niego jutro rano i sam mu oznajmię, co się stało. Nie mogę nic więcej dla pana uczynić — dodał, wskazując drzwi młodzieńcowi.

Ludwig Lecoq przeszedł pierwszy; na schodach naczelnik szepnął do Piédouche'a:

— To prawdziwa fatalność. Biedny ojciec Lecoq! On umrze ze zmartwienia. A ja chciałem powierzyć mu tę sprawę. Teraz dopiero przypominam sobie, że widziałem tego młodzieńca na Pont-Neuf w dniu, gdyśmy wypuścili niemowę na wolność. Ciągle się pytałem: Gdziem ja tę twarz widział. Nazwisko de Gentilly powinno mi było nasunąć podejrzenia, ale któżby przypuścił, że to syn zacnego Lecoqa! Psuje mi to całą radość tego odkrycia.

— I mnie także, panie naczelniku. Tak jak jestem ubogi, wyrzekłbym się gratyfikacyi, awansu, żeby nie być zmuszonym aresztować syna p. Lecoqa. Żałuję teraz, żem poszedł do trupiarni.

— Cóż chcesz, to obowiązek zawodu. Jutro skonfrontują niemowę z tym nicponiem i gotów jestem się założyć, że po tej konfrontacyi, syn mojego starego przyjaciela, pójdzie na plac stracenia.

## ROZDZIAŁ XIII.

Dzień zaczynał świtać, piękny dzień styczniowy.

Ulice roiły się od ludzi. Biedacy zmuszeni chodzić, przez cały rok okrągły, ucieszyli się, że nie potrzebują szargać sobie ubrania w błocie.

Uprzywilejowani tego świata, jeżdżący powozami, zdążali ku Polom Elizejskim, aby nabrać apetytu.

Kobiety szły, tupiąc wysokiemi korkami po suchych chodnikach i przyglądając się wystawom.

W powietrzu czuć było radość.

Ojciec Lecoq cieszył się wraz z innymi. Pogoda usposobiała go wesoło.

Wstał, jak zwykle, skoro świt i zajęty był goleniem się. Od czasu do czasu przez otwarte okno spoglądał na prześliczną panoramę ulicy Conti.

Naprzeciwko srebrzyła się Sekwana, upstrzona krążącemi po niej statkami, Luwr nurzał się w potokach światła.

Na lewo wysokie kasztany tarasu stały uróżowione pierwszemi promieniami słońca.

Na prawo, stare miasto, odmłodzone przez mularzy, strzelało w górę wieżycami Notre-Dame.

Jedna strona tego obrazu przypominała p. Lecoq jego przeszłość pracowitą, burzliwą.

Druga mówiła mu o przyszłości pogodnej, bez chmurki, o przyszłości człowieka, który już do portu zawinął i zapewniwszy sobie byt niezależny, spoczywa, używając owoców swej pracy.

Od roku wszystko szło p. Lecoq, jak z płatka.

Kłopoty z synem ustały, a przyszłe małżeństwo Ludwika, spełniało wszystkie nadzieje starego policyanta.

Ludwik miał poślubić pannę bogatą, śliczną i miłą, kochał ją szalenie, słowem niczego mu nie brakło do szczęścia.

Pan Lecoq znając swego jedynaka, wiedział, że ten żeni się z przywiązania, nie zaś dla pieniędzy.

Termin ślubu już był wyznaczony, oblubieniec kupował prezenty, kosztowały go nawet drogo.

Ojciec przed kilku dniami dał mu pięć tysięcy franków na bransoletkę. Nie żałował jednak tych pieniędzy i nigdy nie czuł się tak raźnym i wesołym, jak właśnie tego poranku, gdy stał przy oknie otwartem.

Projektował sobie pójść do syna i namówić go na wyprawę do magazynów.

Od kilku dni Ludwik miał czas wolny, wziął urlop, a prawdopodobnie miał niebawem wziąć rozbrat z notarjatem, bo panna Lecomte nie lubiła tego zawodu.

Ojciec Lecoq zastanawiał się właśnie, czy nie lepiej byłoby zamiast kancelaryi regentalnej kupić Ludwikowi duży majątek ziemski.

Stary policyant marzył o spędzeniu ostatnich lat swego życia na wsi i pilno mu było otrząsnąć kurz z sandałów po tem mieście przewrotnem, w którem zeszło mu tyle lat na tropieniu ludzkiej zwierzyny.

— I pomyśleć, że tamci chcieli, abym się znowu zaprzągł do jarzma dla ich osobistej przyjemności i korzyści — mówił sobie, patrząc wzgardliwie na gmachy prefektury policyi, wznoszące się po nad Quai des Orfevres. — Widać, że nie znają rozkoszy ojcowstwa... i łowienia ryb na wędkę... Ja, który żenię Ludwika i mogę lada dzień zostać obywatelem ziemskim, ja miałbym pakować się w te kłopoty... Co to, to nie... Panowie rozbójnicy mogą sobie mordować damy pikowe, jeśli im się tak podoba; ja ich nie będę ścigał...

A jednak to sprawa zajmująca... Gdybym był młodym i nie miał Ludwika, oddałbym jej się *con amore...* Ręczę, że głuchoniemy mógłby nam udzielić ważnych wskazówek... Tak, on jeden zna niewątpliwie słowa zagadki, ale ich powiedzieć nie może... Pewny jestem, że Tolbiac nie zda się na wiele. On chce swoją pieczeń upiec przy ogniu, roznieconym przez prefekturę. Może to uchodzi w Anglii — u nas, rzecz inna. Szczęściem wmieszano do tej sprawy Piédoucha. To człowiek rzetelny. Ma sąd trzeźwy i bystry rzut oka, tylko się zbytnio zapala.

Pan Lecoq odchodził już od okna, gdy przed domem stanęła kareta zaprzężona w ładnego konia.

O tak wczesnej godzinie karetka prywatna na ulicy Co[illegible] jest zjawiskiem niebywałem.

Stary policyant wychylił się przez okno, żeby zobaczyć, kto przyjeżdża tak wytwornym ekwipażem w odwiedziny do lokatora domu, zamieszkanego przez samych spokojnych i skromnych obywateli.

Z karetki wysiadły dwie damy i weszły śpiesznie w bramę.

— To dziwne — szepnął ojciec — Lecoq — przysiągłbym, że to pani Lecomte i jej córka... ale widocznie się mylę... Musiałyby wstać, skoro świt, żeby tu być o ósmej...

A jednak to ich karetka... Poznaję teraz stangreta...

Cóż to, czyżby wynikły jakie trudności... Czyżby pani Lecomte przybywała, aby odebrać słowo?...

Ależ to niepodobna... w takim razie nie przywoziłaby ze sobą Teresy...

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Pan Lecoq, zaciekawiony poszedł sam otworzyć.

Panna Lecomte zawołała od progu:

— Ludwik jest u pana, nieprawdaż?

— Ludwik — Nie... nie widziałem go od wczoraj. Niechże panie raczą wejść.

— Pan go nie widział? — podchwyciła Teresa. — Więc mi nic już nie pozostaje, jak umrzeć!

— Umrzeć! — Cóż to znaczy? Co pani jest? Pani mnie przerażasz...

— Ach! panie, gdyby pan wiedział! — jęknęła pani Lecomte.

— Raczcie panie wejść do pokoju — rzekł ojciec Lecoq, wprowadzając damy do małego saloniku, w którym ogień płonął na kominku.

Straszne rzeczy! — zawołała matka. — Pański syn był u nas wczoraj na obiedzie, jak zwykle. Wieczorem, około dziewiątej, zjawił się nagle jakiś nieznajomy i zażądał z nim rozmowy, mówiąc, że odnosi pugilares, który pan Gentilly zgubił. Kazałam go wprowadzić do salonu... Pokazał istotnie pugilares, zawierający pięć tysięcy franków...

— Dałem je Ludwikowi wczoraj rano na zapłacenie jubilera. Mój syn jest roztrzepańcem... Jak można rozsiewać banknoty... Szczęściem, że je znalazł człowiek uczciwy... Ale nie o to chodzi zapewne.

— Niestety, dałabym dziesięć razy taką sumę dla oszczędzenia mojej córce przykrej sceny, która się potem rozegrała... W tym pugilaresie był portret... portret kobiety, zamordowanej przy ulicy Arbaléte...

— Jakto! przecież Ludwik jej nie zna... To niepodobna!

— Nie zaprzeczał, że ją zna — szepnęła panna ze łzami.

— Otóż znalazca pugilaresu oświadczył — ciągnęła dalej wdowa Lecomte, nie mniej wzruszona od córki — że przed oddaniem pugilaresu musi wpierw pokazać portret komisarzowi policyi i prosił p. de Gentilly, aby mu towarzyszył.

— A mój syn był tak nierozsądny, że się na to zgodził — zawołał pan Lecoq, marszcząc brwi groźnie. — Jakże wyglądał człowiek, który się przedstawił pod takim pretekstem... bo to był pretekst... jestem pewny...

— Ten człowiek ubrany był ubogo... wyglądał pospolicie...

— I Ludwik z nim pojechał?

— Tak. Obiecał wrócić wieczorem. Czekałyśmy na niego przez całą noc. Ale dotychczas go niema... Może pan sobie wyobrazić nasz niepokój.

W tej chwili weszła służąca i szepnęła coś na ucho panu Lecoq.

— Przepraszam panie — rzekł, wstając śpiesznie. — Meldują mi wizytę, która jest może w związku z tajemnicą zniknięcia mojego syna. Za chwilę będę mógł zapewne przekonać panie, żeście się trwożyły niepotrzebnie.

P. Lecoq wyszedł z salonu i krokiem przyśpieszonym podążył do swego gabinetu.

Czekał tam na niego szef policyi tajnej.

Wiedział on, jak wchodzić do dawnego podwładnego, bez zwrócenia niczyjej uwagi. Zamiast więc pociągnąć za dzwonek, przycisnął guzik elektryczny, odzywający się w pokoju służącej.

Szef policyi był smutny i zafrasowany, bo miał wielką życzliwość dla p. Lecoq, a przychodził do niego w przykrej misyi.

— Więc mój syn został aresztowany! — zawołał stary policyant od progu.

— Już o tem wiesz — rzekł szef policyi ze zdziwieniem. — Tem lepiej, drogi przyjacielu. Trudnoby było mi to oznajmić.

— Wiem, że go aresztowano. Pani Lecomte, z której córką jest zaręczony, przyjechała do mnie naumyślnie z tem doniesieniem.

— Istotnie w jej domu...

— Ale nie wiem za co...

Twarz naczelnika spochmurniała wobec konieczności zadania ciosu przyjacielowi.

— Pani Lecomte wspomniała mi — rzekł Lecoq — o jakimś portrecie. Nie przywiązywałem do tego żadnej wagi. Ludwik nie może być przecie wmieszanym w sprawę, którą chciałeś powierzyć w moje ręce.

Ale po opisie człowieka, który go zabrał ze sobą i po sposobach, których użył ku temu, poznałem odrazu, że to był jeden z naszych agentów.

Opowiedz-że mi wszystko. Ręczę, że to drobnostka... Ale w obecnem położeniu mojego syna — żeni się za dwa tygodnie — lada drobnostka może mu zaszkodzić. O cóż poszło?

Szef policyi spuścił oczy i nie kwapił się z odpowiedzią.

— Poszło o kobietę, prawda? — pytał Lecoq. — Dziwi mnie to, bo od powrotu do Francyi, Ludwik ustatkował się zupełnie, zresztą jest zakochany w pannie Lecomte. Ale w jego wieku słabostka do kobiet jest usprawiedliwioną... Chodzi tylko o uniknięcie skandalu, tembardziej, że jego narzeczona jest okropnie zazdrosna... Liczę na ciebie, że mi pomożesz stłumić tę sprawę...

— Nic nie mówisz?... Czyżbym się mylił? Czyżby Ludwik był oskarżony o sprawę honorową, o...? Nie, to niepodobna... Nie wiem, ile razy powierzano mu znaczne sumy... nigdy... Zresztą jestem bogaty... dawałem mu zawsze więcej pieniędzy, niż mu potrzeba.

— O ile mi się zdaje, w tej smutnej sprawie nie chodzi o pieniądze.

— A więc mów! Widzisz przecie, że umieram z niepokoju.

— Odwagi, stary druhu, odwagi! To, co usłyszysz, złamie ci serce. Lepiej jednak, że się o tem dowiesz z ust moich... Twój syn jest domniemanym sprawcą morderstwa, popełnionego przy ulicy Arbalète.

P. Lecoq zachwiał się, jak człowiek godzony prosto w piersi i szepnął głosem zmienionym:

— Mój syn... sprawcą zbrodni... Czy ja oszalałem... czy chcesz mnie wystawiać na próbę? Nie, to byłoby za wielkiem okrucieństwem...

— Powiadam ci prawdę, niestety, drogi przyjacielu. Jeślim aresztował pańskiego syna, to tylko z konieczności nieodzownej. I pan na mojem miejscu nie postąpiłby inaczej.

— Więc masz dowody?

— Aż nadto przekonywające. Syn pański odwiedził trupiarnię Morgi pod przebraniem. Został tam okradziony przez rzezimieszka, którego po chwili ujęto i przy którym znaleziono pugilares, zawierający portret zamordowanej kobiety, nazwisko de Gentilly i adres pani Lecomte. Domyślasz się dalszego ciągu. Nasz agent wyruszył do Boulogne i przywiózł mi młodzieńca, którego natychmiast przesłuchałem, nie domyślając się, że jest pańskim synem... wyszło mi z myśli to drugie, przybrane nazwisko — de Gentilly.

— I on się przyznał? — pytał p. Lecoq z najwyższym niepokojem.

— Nie, zaprzeczał wszystkiemu, nie chciał się przyznać, nawet wobec dowodów niezbitych. Powiada, że nie znał tej kobiety, a jednak poznałem jego pismo na jednej z kopert, znalezionych w pawilonie przy ulicy Arbalète.

— To może być najwyżej poszlaką.

— Odkryłem jeszcze ważniejsze przy rewizyi jego apartamentu przy ulicy Mont-Thabor. Ale trudno mi, kochany Lecoqu, wchodzić w te szczegóły wobec pana. Powiem tylko, że pański syn po drodze do prefektury, chciał przekupić naszego agenta i następnie próbował go zabić, a wreszcie usiłował sobie życie odebrać.

— Biedny chłopiec stracił zupełnie głowę... Przerażała go hańba, dlatego właśnie, że jest niewinnym, że nim jest, na to mógłbym przysiądz... i dowiodę tego niezbicie...

— Życzę panu szczerze powodzenia, lecz prawdę powiedziawszy, wątpię, by ci się to udało, bo jestem pewny, że to on przychodził do pawilonu nazajutrz po zbrodni, wśród nocy. Piédouche poznał go.

— Piédouche! On, który tak długo służył podemną, który mi tyle zawdzięcza, Piédouche go aresztował!

— Niestety, tak. Musiał spełnić swój obowiązek. Zresztą nie wiedział, kogo właściwie aresztuje... Gdyby się domyślał, że to syn pański, nie byłby go może przywiózł do prefektury. Od czasu, jak się o tem dowiedział, jest przygnębiony.

— Zobaczę go... rozmówię się z nim... musi mi pomódz w moich badaniach, bo nie odstępuję od zamiaru uniewinnienia Ludwika... Śledztwo jeszcze nie ukończone...

— Zaledwie rozpoczęte. Syn pański został odprowadzony do więzienia wczoraj o jedenastej wieczorem. Dziś go jeszcze nie badano. Sędzia śledczy jeszcze nie przybył, ale sądzę, że poprowadzi sprawę szybko. Prefekt i prokurator generalny zostali uwiadomieni o północy.

— A dziś wieczorem cały Paryż będzie wiedział, że mój syn jest mordercą? — rzekł staruszek z rozpaczą. — Za chwilę nieszczęśliwa panienka, czekająca w przyległym pokoju, dowie się, że jej narzeczony ma skończyć życie na galerach lub na gilotynie — bo go skażą na śmierć... Jestem tego pewny... Pozory przemawiają przeciwko niemu... Opinia publiczna wzburzona... On nie potrafi się obronić... Jest niewinnym... Ja to czuję, ja na to przysięgam.

Pan Lecoq płakał; jego boleść wzruszyła szefa policyi.

— Drogi przyjacielu — rzekł tenże, ściskając mu rękę — nie trzeba nigdy tracić nadziei. Wiesz pan lepiej odemnie, że sprawa przedstawiająca się źle w toku śledztwa, bierze czasami obrót pomyślny. Syn pański zechce może prawdę powiedzieć, wykazać, że został wplątany do zbrodni pośrednio, mimowoli... Jeśli przedstawi *alibi*... jeśli głuchoniemy nie pozna go przy konfrontacyi...

— Prawda, jest jeszcze niemowa... on jeden może wyświetlić tę tajemnicę... on jeden może wskazać mordercę... a że nie zna mojego syna, to jestem najpewniejszy... Gdzieżby go widział? Ten człowiek nie zna Paryża... przekonaliście się o tem, zastósowawszy się do mojej rady... a Ludwik mieszka w Paryżu od lat wielu. Zróbcie więc próbę... Za jej skutek ręczę.

— Zrobimy, bądź pan spokojny, a życzę, aby wypadła pomyślnie dla podsądnego.

— Czy wolno mi widzieć się z moim synem?

— Tak. Uzyskałem to pozwolenie ze względu na usługi,

które pan oddałeś prefekturze. Tylko zobaczysz go pan przy świadkach. Ja będę obecnym. Pierwsze widzenie może nastąpić dzisiaj.

— Dziękuję ci, stary przyjacielu. Za godzinę zjawię się w pańskiem biurze... Jeszcze słówko... Czy Tolbiac wie o aresztowaniu?

— Ani słowa. Powiem panu nawet, że zajmuje się tą sprawą opieszale. Nie jesteśmy z niego zadowoleni, a jeśli nie dajemy odprawy, to tylko dlatego, że mało jest ludzi zdolnych.

— O nic więcej już nie pytam — rzekł p. Lecoq, odprowadzając szefa do policyi.

Po jego odejściu pasował się długo ze wzburzeniem, wreszcie je opanował i powrócił do salonu, gdzie pani Lecomte z córką czekały na niego w najwyższej trwodze.

— Uspokójcie się, panie — rzekł im swobodnie. — Ludwik padł ofiarą pomyłki. Powołał się na mnie, a ponieważ jestem znany i szanowany, jeden z naczelników policyi przyszedł sam opowiedzieć mi to zajście. Idę natychmiast do prefektury i mam nadzieję, że przyprowadzę paniom Ludwika niebawem... może jeszcze dzisiaj...

Teresa zarzuciła ręce na szyję p. Lecoqa i szepnęła mu na ucho:

— Powiedz mu pan, że mu przebaczam niepokój, który mi sprawił, ale przebaczam mu pod warunkiem, że nie będzie nosił na sercu innego portretu, tylko mój.

Pani Lecomte płakała z radości.

Stary Lecoq wierzył święcie w niewinność swojego syna, ale nie był tak pewnym jego uniewinnienia, jak chciał im okazać.

Jednak, po przeprowadzeniu do drzwi pań Lecomte, nie poddał się rozpaczy, ani jednej łzy nie uronił, czuł bowiem, że trzeba działać, nie zaś płakać.

Ubrał się szybko i pojechał do więzienia prefektury. Spodziewał się zastać w kancelaryi szefa policyi tajnej i miał nadzieję, że mu ułatwi widzenie się potajemnie z synem, tak aby cały sztab policyjny nie dowiedział się, że ojciec Lecoq jest wmieszany w tę sprawę.

Pierwszą osobą, którą zobaczył przed drzwiami więzienia, był Piédouche. Stał tam, jak na warcie.

Przykro było staruszkowi patrzeć na agenta, który jego syna aresztował, panując jednak nad tem niemiłem wrażeniem, podszedł wprost do niego.

Piédouche był daleko bardziej zmieszany od p. Lecoq, bo nie mógł sobie darować, że pełniąc swój obowiązek, musiał cios taki zadać ukochanemu zwierzchnikowi.

Gniótł kapelusz w ręku i szukał jakiegoś usprawiedliwienia, ale p. Lecoq pierwszy go zagadnął.

— No i cóż mój chłopcze — rzekł dobrotliwie. — Popisałeś się wczoraj. O! nie mam ci za złe — rozumniejsi od ciebie daliby się zmanić pozorom. Twój naczelnik opowiadał mi wszystko przed chwilą i nie dziwię się, żeś takiego bąka strzelił. Fortel z pugilaresem był wyborny. Dziękuję ci, żeś postępował ostrożnie i oszczędzał tego biedaka. Mój syn ma się żenić i skandal w domu jego przyszłej teściowej byłby mu bardzo zaszkodził.

Piédouche nie wierzył swoim uszom i gotów był przypuścić, że staruszek oszalał z rozpaczy.

— Patrząc na niego — myślał — możnaby przypuścić, że ślub się jednak odbędzie.

— Wszystko dobrze się ułoży — ciągnął dalej Lecoq. — Twój zwierzchnik czeka na mnie i ułatwi mi widzenie z tym roztrzepańcem, któremu nie przyszło nawet na myśl powołać się na mnie, coby mu oszczędziło noclegu w więzieniu. Po pięciu minutach rozmowy sprawa będzie załatwiona, bo mój syn musi prawdę powiedzieć. Trzeba było zacząć od tego, ale taki młodzieniaszek traci głowę, gdy zobaczy koniec nosa policyanta. Chcę, byś słyszał, jak będę z niego prawdę wyciągał. Zastukaj do drzwi, mój stary. Po co mamy stać na dworze?

— Daruje pan, — bełkotał agent — ale w tej chwili nie zastanie pan syna w jego celi.., Pan naczelnik postawił mnie tutaj na warcie, żebym pana poprosił o chwilkę cierpliwości.

— Gdzie jest Ludwik? Czyżby go przewieziono do Mazas? Nie to nie podobna!

— Został wezwany do sędziego śledczego.

— Już tak prędko!

— Tak... Sędzia przybył tu naumyślnie... ale pierwsza indagacya zwykle bywa krótka, tembardziej, że pan naczelnik nie zebrał jeszcze dowodów, potrzebnych do śledztwa... Za jakie dziesięć minut przywiozą tu pańskiego syna.

P. Lecoq zbladł. To doniesienie krzyżowało mu plany. Chciał koniecznie widzieć się z synem, zanim ten będzie stawiony przed sędziego śledczego, chciał dowiedzieć się z ust jego szczerej prawdy, a potem wskazać mu system obrony, uzbroić go przeciw wszelkim pytaniom i indagacyom i wskazać, jak jest niebezpiecznem milczeć, a z drugiej strony jak źle jest mówić za wiele.

Ojciec wierzył wprawdzie święcie w niewinność syna, ale obawiał się jego nieostrożności; zresztą doświadczenie zawodowe nauczyło go, że nie wystarcza być niewinnym, aby się z winy oczyścić.

Teraz było już zapóźno na te rady i wskazówki. Pisarz sądowy spisał protokół z pierwszych odpowiedzi oskarżonego, odpowiedzi dawanych wśród trwogi i pomieszania, a które jednak stanowić musiały podstawę oskarżenia.

— Co to znaczy? — pytał się w duchu p. Lecoq.

Miał się dowiedzieć niebawem.

W głębi kurytarza zobaczył szefa policyi tajnej, rozmawiającego z inspektorem, a za nimi, w głębi, pomiędzy dwoma dozorcami, Ludwika, bladego, z głową opuszczoną, postępującego krokiem chwiejnym, jak człowiek idący na plac stracenia.

Szef policyi odczuł, co się musi dziać w sercu nieszczęśliwego; podszedł do niego i stanął w ten sposób, aby młodzieniec mógł przejść, nie widząc p. Lecoq.

Przeszedł istotnie z głową opuszczoną. Dozorcy odprowadzili go do więzienia.

Inspektor policyi wszedł za nimi, a Piédouche usunął się dyskretnie.

— No i cóż? — zapytał p. Lecoq.

— Mój stary towarzyszu — odparł smutno szef policyi tajnej — nic dobrego donieść ci nie mogę. Syn pański był badany przed chwilą... Sądziłem, że go powołają do śledztwa dopiero po południu, ale sprawa jest tak ważna, że sędzia przyśpieszył godzinę.

— Niestety! gdybym się był widział z Ludwikiem poprzednio, wszystkoby się wyjaśniło... a tak biedny mój syn stracił zapewne głowę i skompromitował się odpowiedziami.

— Nie, bo nic prawie nie mówił. Wciąż twierdzi, że to rzezimieszek wsunął w jego pugilares portret zamordowanej kobiety.

— Czemuż temu wierzyć nie chcecie?

— To niepodobna, takiem dowodzeniem szkodzi sobie tylko. Skonfrontowano go właśnie ze złodziejem Anglikiem. Podał on szczegóły i objaśnienia tak dokładne, że syn pański musiał umilknąć. A w takich razach milczenie równa się przyznaniu do winy. Zresztą zasięgnęliśmy już informacyi o Angliku i dowiedzieliśmy się napewno, że przyjechał do Paryża wczoraj rano koleją północną.

— A zatem Ludwik obrał sobie za system twierdzić, że nie zna wcale ofiary?

— Niestety! tak, a między nami mówiąc, system taki jest najgorszy. Wytłómaczyłem już panu. Nie mówiąc już o damie pikowej, o tej karcie, której brakło w pasjansie, znalezionym u niego, oczywistem jest, że pański syn wchodził do pawilonu w nocy z niedzieli na poniedziałek, nazajutrz po zbrodni. Byłem tam, i przed chwilą głos jego poznałem. Piédouche, który odzywał się do niego na ulicy, poznał go po brwiach, po brodzie i rękawiczkach popielatych jelonkowych. Wreszcie znaleziono w jego garderobie palto i szalik, które miał na sobie, gdy przyszedł na ulicę Arbalète o północy.

— O północy!

— Tak. Spędziłeś pan z nim wieczór, ale rozstaliście się zapewne przed północą.

Widzisz pan zatem, że dowodów nie braknie. A odkryjemy zapewne jeszcze inne poszlaki.

Dlatego to, drogi przyjacielu, oddasz mu największą usługę, radząc, żeby się nie zapierał wobec oczywistości.

— Więc wolno mi go widzieć?

— Obiecałem i obietnicy dotrzymam, kochany Lecoqu. Zresztą i sędzia śledczy nie ma nic przeciwko temu widzeniu... w mojej obecności i raz tylko jeden. Życzę serdecznie, abyś zdołał skłonić syna do wyznań, bo jeśli jest winien, to może mniej, niż można sądzić po jego milczeniu. Staraj się pan, aby jego adwokat mógł przynajmniej powołać się na okoliczności łagodzące.

Stary Lecoq drgnął na te słowa, które stawiły mu przed oczy sąd przysięgłych.

Jego złudzenia rozpraszały się zupełnie. Starał się jednak miną nadrabiać.

— Dziękuję ci, drogi przyjacielu — rzekł do szefa policyi. — Spodziewałem się tego po tobie. Ale chcę ci jeszcze zrobić pewną propozycyę, którą powinienbyś przyjąć.

Chcesz być obecnym przy mojej rozmowie z synem... Rozumiem to i nie sprzeciwiam się. Chciałbym nawet, abyś nie uronił ani jednego słówka. Ale chciałbym także, by Ludwik nie domyślał się, że nas słyszysz.

Wszak musicie mieć tu jaką celę z otworami, przewierconemi w ścianie, tak by ktoś siedząc w sąsiedniej, mógł wszystko widzieć i słyszeć?

— Numer 10-ty, w którym pański syn siedzi, jest właśnie tak urządzony do obserwacyi. Ale nie rozumiem, dlaczego mam się ukrywać.

— Zrozumiesz to pan zaraz. Pańskie dowodzenia nie przekonały mnie bynajmniej. Wszak przyznajesz mi pewną kompetencyą w sprawach podobnych? Otóż ja widzę tylko, żeście się uprzedzili do mojego syna i wykażę wam to czarno na białem, w razie potrzeby. Ale sądzę, że do tego nie dojdzie, bo Ludwik jest niewinny i dość mi będzie wziąć go na spowiedź, aby ta jego niewinność wyszła na jaw.

Wobec pana, będzie milczał i zaprzeczał. Przedemną nic nie ukryje, a ponieważ będziesz mógł słyszeć wszystko, co powie, zatem prawdy się dowiesz.

Wszak zgodzisz się pan na to?

— Trudnoby mi było odmówić, bo wyświadczasz nam ogromną usługę, kochany Lecoqu. Ale zastanów się dobrze. Sposób jest niebezpieczny, stawiasz wszystko na jedną kartę. Przypuśćmy, że twój syn jest winien i że ci to wyzna... w takim razie będzie zgubiony, bo obowiązek nakaże mi powtórzyć to, com słyszał, a wówczas...

— Wiem, co ryzykuję, ale nie zmieniam zamiaru... Gdybyś pan znał Ludwika, tak jak ja, namawiałbyś mnie na podobną próbę. Ma on swoje wady, ale jest szlachetny, prawy, niezdolny do nizkiego czynu.

Można przecie nabyć znajomości ludzi, gdy się, tak jak ja, studjowało charaktery przez lat trzydzieści. Otóż ja patrzałem na Ludwika od jego urodzenia. Gdybyś mi powiedział: Twój syn zabił człowieka w przystępie gniewu, odpowiedziałbym: możliwe.

Lecz gdy mi powiadasz: Twój syn obmyślił wstrętne morderstwo, a potem niecne kombinacye dla usunięcia trupa, gdy mi tak mówisz, oświadczam stanowczo, że tego nie zrobił.

— Można dopuścić się zbrodni w napadzie gniewu, a potem kombinacye obmyślać — wtrącił szef policyi półgłosem i dodał:

— Nie mam nic przeciwko pańskiemu projektowi i jeśli pan chcesz, zaprowadzę cię do celi nr. 10.

— Jeszcze słówko — rzekł stary Lecoq. — Niepodobna, aby wszystkie okoliczności świadczyły przeciw Ludwikowi. Potępiają go ważne poszlaki... ale w oskarżeniu muszą być słabe punkta. Czy mógłbyś mi je pan wskazać, bez uszczerbku dla śledztwa?

— Ja, coprawda, żadnych słabych punktów nie widzę, ku wielkiemu mojemu żalowi, co najwyżej kilka niezrozumiałych jeszcze faktów. Naprzykład: człowiek, który przyszedł w nocy do pawilonu, mówił Piédouche'owi, że należy do policyi; pokazał mu nawet kartę agenta tajnego, a tej karty nie znaleziono u pańskiego syna. Co prawda niezrewidowano jeszcze do gruntu jego mieszkania.

— Zkądżeby mógł mieć taką kartę? Nie zna nikogo w prefekturze. Nie wie nawet, że ja byłem waszym współpracownikiem.

— Przytem — ciągnął dalej szef policyi, nie odpowiadając na ten argument — nie był jeszcze skonfrontowany z głuchoniemym, który przenosił kufer. Jeśli go niemowa pozna, syn pański jest zgubiony. Tymczasem może się bronić.

— Może się daleko lepiej bronić potem — rzekł Lecoq z wielką stanowczością. — Jestem pewny, że go głuchoniemy nigdy nie widział i domagam się, aby ich skonfrontowano jaknajprędzej.

— Stanie się to dziś lub jutro. Chodzi tylko o to, czy ta konfrontacya odbędzie się w gabinecie sędziego śledczego, czy też gdzieindziej.

— Gdzie jest głuchoniemy?

— W Mazas, a syn pański będzie tam przewieziony za dwa dni. Ja mam urządzić konfrantacyę i obrać dla niej miejsce. Porozumiem się w tym względzie z Tolbiac'em.

— I jabym chciał się widzieć z Tolbiac'em.

— Będzie tu za godzinę i z całą przyjemnością odda się do pańskich usług. Serdecznie panu współczuję i chciałbym, żeby sprawa wzięła inny obrót, dla pańskiego syna pomyślny.

Widzisz więc, kochany Lecoqu, że gram z tobą w otwarte karty. Znam cię o tyle, że wiem, iż nie uchybisz naszym postanowieniom. Pozostaniesz sam z synem przez pół godziny i liczę na ciebie, że go nie ostrzeżesz, ani słowem, ani znakiem, że słucham waszej rozmowy.

— Daję ci na to słowo honoru.

— A więc chodźmy. Pamiętaj pan, żeś sam chciał poddać syna tej próbie. Oby wypadła dla niego pomyślnie!

Szef policyi zapukał dwukrotnie do drzwi więzienia, które otworzyły się natychmiast, jakby na zaklęcie.

Drzwi więzienia otwierają się łatwo przed tymi, którzy wchodzą.

P. Lecoq szedł za naczelnikiem, Piédouche na końcu.

Od czasu jak stary policyant bywał w prefekturze, personał jej zmienił się bardzo; z dawnych znajomych pozostali tylko jeden dozorca i pisarz.

Ten pisarz właśnie miał zaprowadzić p. Lecoq do celi nr. 10.

Położona była na lewo w dużej sali, która miała dokoła drzwi, zaopatrzone numerami i przypominała salę parowców, otoczoną kabinami. Tylko że pasażerowie z tych kabin nie wychodzą nigdy na pokład.

W więzieniu śledczem jest także sala ogólna, gdzie nagromadzeni są jakby podróżni trzeciej klasy, to jest nędznicy i nędzarze niegodni osobnego pomieszczenia, schwytani na ulicy przy codziennym połowie.

Tym wystarcza wspólny materac; we dnie wolno im rozmawiać. Korzystają z tego przywileju. Czasami bywa tam wesoło.

W celach inaczej zgoła. Zamykani w nich przestępcy należą do wyższych warstw społecznych, lub też obwinieni są o wykroczenia poważniejsze.

P. Ludwik de Gentilly miał wszystkie tytuły do tego smutnego przywileju.

To też od chwili wejścia do więzienia, widywał tylko szefa policyi tajnej i dozorców. Wzruszenie jego było wielkie, gdy zamki zgrzytnęły i znalazł się nagle wobec ojca.

Staruszek otworzył mu ramiona i przycisnął go do serca. Pozostali sami. Wylew uczuć trwał krótką chwilę.

P. Lecoq wiedział, że nie ma czasu do stracenia, przystąpił wprost do rozmowy, która miała stanowić o losie jego jedynaka.

Cichy szelest ostrzegł go, że szef policyi słucha w sąsiedniej celi.

— Kochany Ludwiku — zaczął ojciec głosem stanowczym — nie jesteś już wobec agentów, ani wobec sędziów, lecz sam na sam ze mną. Nie potrzebuję ci chyba mówić, że jestem głęboko przekonany, iż padłeś ofiarą nieszczęśliwej pomyłki. Wytłumacz mi ją, mów szczerze, nic nie ukrywaj.

Młodzieniec zbladł. Na twarzy jego odmalowało się żywe wzruszenie. Widocznie w duszy jego toczyła się walka, po chwili pasowania się ze sobą, rzekł wreszcie:

— Nic ci wytłumaczyć nie mogę, ojcze. Wiesz, o co jestem obwiniony. Wiadomo ci zapewnie, jak się broniłem, skoroś widział się z tymi, którzy mnie oskarżają.

Zdziwiony takiem oświadczeniem, p. Lecoq zawołał.

— Czyż mnie uszy nie mylą?! Jakto! jesteś pod zarzutem, który cię może zaprowadzić na gilotynę, pod zarzutem, którybyś mógł rozproszyć jednem słowem, i tego słowa nie chcesz wymówić... nawet teraz, w cztery oczy ze mną... gdy wiesz, że słowa twoje nie będą źle zrozumiane.

— Próbowałem się tłumaczyć, usprawiedliwiać, ale mi się to nie udało. Teraz nie będę już próbował.

— Więc chcesz się zgubić?! Chcesz, żebym umarł z żalu i wstydu? Cóż cię skłania do takiego zabójstwa, do lekceważenia życia starego ojca? Czyż nie jesteś szczęśliwy? kochany?

(Ciąg dalszy nastąpi.

# MAŁY ZŁODZIEJ.

I.

— Uu!... matulu... uu!... boli... okrutnie boli...

Skończywszy bandażowania, felczer rzekł z wielką powagą:

— Jeśli do jutra nie będzie lepiej, to ja już nic nie poradzę, zwieźcie sobie doktora, ale i z nim pewno niewiele wskóracie. Szkoda dzieciaka, zawsze co dwoje oczu to nie jedno. Jak można bić tak zapalczywie, moja kobieto, i zrobić dziecko kaleką!

— Czy to wej umyślnie, proszę pana — odparła zapłakana Małgola — raz kropnęłam powrozem w łeb bez złość, bo nie chcę, żeby wyrósł na złodzieja i, nieszczęsna godzina, w sam ślep trafiłam. Nie bucz, Pietraś, nie bucz, bidno siroto bez ojca na świecie!...

Tak pocieszała sześcioletniego syna Małgola, służąca w Jasinku, za czeladnią kucharkę u państwa Zygmuntów.

II.

Pan Zygmunt mieszkał w starym dworku ojcowskim niewielkim, bezpretensyonalnym, jakich dziś coraz mniej. Stojąca w pobliżu oficyna imponować chciała staruszkowi wytworną budową, eleganckiemi filarami i czerwonym dachem z wieżyczką.

Z efronteryą strojnej kokietki spoglądała na białe ściany dworu, na strzechę słomianą, pod którą jaskółki, zwiastuny szczęścia, ulepiły gniazdka swoje, na niewielkie, spaczone przez czas okienka i proste słupki ganeczku. Ale staruszekdwór nie zważał na półuśmiechy elegantki-oficyny, dumny ze swej swojskiej prostoty, pewny, że go kochają i szanują, boć go pobudował dziad obecnego dziedzica, ten sam, którego portret w mundurze pułkownika wisi w jadalnym pokoju i straszy marsem i szumiastym wąsem nietylko małego Tadzia, ale i starszą od niego o lat kilka Marychnę.

Choć młody dziedzic ukończył uniwersytet za granicą, podróżował wiele i przypatrywał przepychowi stron obcych, kochał bardzo pochylony dworek rodzinny i powróciwszy do kraju na stałe, nie pozwolił na żadną w nim zmianę. Dobudował wprawdzie elegancką oficynę, bo po ożenieniu się przyjmował często krewnych i znajomych, którym podczas pobytu w Jasinku chciał dać zupełną swobodę, połączoną z komfortem.

Ale jemu samemu wystarczał staroświecki dworek z dobrym fortepianem i piękną biblioteką, kompletowaną z ojca na syna, a ładna i słodka pani Lili podzielała we wszystkiem zdanie i gusty męża. Potem ściany dworku ożywił gwar i śmiech dziecięcy. Poważna Marychna i jasnowłosy Tadzik, przypominający delikatnością rysów ładną mateczkę, wystarczali im za świat cały.

III.

Dobrze było ludziom z młodem państwem: włościanie szli z całem zaufaniem do dziedzica, wiedząc, że nie odejdą bez pomocy i dobrej rady, a służba folwarczna uwielbiała dziedziczkę, która, będąc bardzo wątłą, nie zajmowała się gospodarstwem, ale dla każdego miała uśmiech i dobre słowo, a dzieci wiejskie obdarowywała cukierkami i jabłuszkami. Tylko nikt nie zatroszczył się o stronę moralną tej gromadki.

Smutno było w Jasinku, gdy Marychna pojechała na pensyę do Warszawy, ale za to zapanowała wielka radość, gdy wróciła na wakacye, przywożąc promocyę do klasy wyższej, a dla braciszka całą walizkę podarunków.

Tadzio najwięcej ucieszył się lejcami z czerwonej taśmy, ozdobionej dzwoneczkami. Cały dzień będzie się bawił udając stangreta, a Marychnę zrobi konikiem...

IV.

Dziewczynka po przyjeździe nazajutrz zillustrowała całe gospodarstwo i zastała w nim pewne zmiany: młode kuce chodziły już w zaprzęgu, dwa cugowe konie sprzedane, dawnego stangreta wzięli do wojska, a na miejsce starej Janowej przyszła inna kucharka do czeladniej kuchni, dwudziestokilkoletnia dziewczyna, Małgola, z małym chłopakiem Pietrkiem, który się po to znalazł na świecie, by zawadzać matce.

Kochała go jednak Małgola po swojemu, schowała zawsze kęsek chleba z twarogiem dla syna, a kawałek szperki wyciągnęła z garnka, z ujmą podniebienia parobczaków i, pchając chłopcu w ręce, mówiła:

— Naści, Pietraś, krzynę, naści bidny siroto, co tatula nie masz, bo gospodarska córka się za niego wydała, naści, ino nie bucz i pode dwór nie łaź, bo zbiję, sprawiedliwie zbiję!

A chłopak szperkę zjadał, wytrzeszczał niebieskie oczy i słuchał perory matki, z obietnicy zbicia nie wiele sobie robiąc i nie rozumiejąc swej krzywdy, uczynionej przez nieznanego tatula, który nawet zapomniał, że Pietraś istnieje na świecie.

A Małgoli trudno było o służbę, choć siarczysta dziewka do roboty, bo kto chce trzymać sługę z takim pędrakiem, co to do nijakiej roboty niezdatny jeszcze! Oj! oj! miała z nim biedę i tyla!

Godząc się w Jasinku, z obawy nic o dziecku nie wspomniała, a potem chowało się biedactwo w kącie za przypieckiem, szturchane i popychane przez wszystkich, choć ciche i potulne było.

Na drugie lato może już pasać dworskie gęsi, gdy się Małgola przypodchlebi o to gospodyni, a tymczasem Pietraś jeszcze nic nie robi, tylko siedzi na progu kuchni, a zanurzywszy ręce w gęstwinę włosów konopiastych, patrzy w niebo i przygląda się białym obłoczkom, przeciąga się, jak kot na słońcu i mruczy coś niewyraźnie — prawdopodobnie z wielkiego zadowolenia. Matka zawsze wpycha syna do kuchni, obdarzając go przytem kułakiem, ile razy zobaczy dziedziczkę zdaleka, bo ta przecież nic nie wie o Pietrku.

Gospodyni, chcąc być jedyną dobrodziejką kucharki, nie mówi o dobroci dziedziczki i jej wyrozumiałości, obiecując protekcyonalnie sama zrobić chłopca gęsiarkiem.

O! wtedy Małgola kupi mu ze zasług trochę przyodziewku, a teraz niech chodzi w tem, co ma; choć dziury i łaty wiewają, nie będzie mu zimno, bo słońce dobrze grzeje. Łeb mógłby sobie przepalić, ale gospodyni dała swój stary kapelusz słomiany z ogromnem rondem i wyblakłemi wstążkami, więc Pietrek paraduje w nim aż miło.

V.

Czeka on zawsze zachodu słońca z wielką niecierpliwością, bo wtedy pańskie dzieci bawią się przed dworem, a malec, nie pomnąc na przestrogi i szturchańce matki, skrada się za oficynę i stamtąd przypatruje rzeczom pięknym a nieznanym. Opowiadały sobie wprawdzie dziewczyny przy wieczerzy o królewnie, co miała suknię przybraną słońcem i gwiazdami, a także o babie jędzy, posiadającej domek z piernika, ale o takich cudach, jakie widzi przed dworem, nigdy nie słyszał. Jaśnie pan przez okrągłe szkiełka przypatruje się czarnym znaczkom, takim samym, jak na Józkowym elementarzu, który dziedzic przewraca na różne strony, czasem głową pokręci, do dziedziczki zagada i znowu patrzy.

— Dlaczego jaśnie pan ma śkiełka na oczach? — zapytał raz matki, ale w miejsce odpowiedzi dostał w kark i usłyszał:

— O wej! jaki mi wściubski! mądrala! A może ty organistą chciałbyś być?

Dlaczego dostał w kark i dlaczego miałby być czemś, co się nazywa organistą, Pietrek nie pojmował wcale, ale zaniechał dalszych pytań.

Dziedziczka śmieje się do panicza i panienki, a wygląda jak anioł na obrazku i taka bieluchna, jak śnieg, co pada zimą z nieba i on miał nieraz ochotę łapać ten puch, żeby matula mieli większą pierzynę.

Panicz rzuca dużą, czerwoną kulę w górę i chwyta ją znowu, a Pietrek, kryjący się za oficyną, wyciąga też ręce, ale wystraszony własną śmiałością, cofa je czemprędzej. Jużby oddał swój kawał chleba za to, żeby mógł choć parę razy rzucić tak samo tą kulą, tymczasem podrzuca grudką ziemi, ale co innego czarna grudka, a co innego czerwona kula.

Czasami znowu panicz z panienką gonią duże koło, takie wielkie jak u powozu, ino pomalowane na żółto i śmieją się głośno, a chłopczyna ma też ochotę śmiać się, ale zasłania usta pięścią, tylko modre oczy więcej niż zwykle wytrzeszcza.

Innym razem panienka wynosi lalkę, ale nie taką z gałganów, jaką mają wiejskie dzieci, tylko prawdziwą, z oczami, nosem i włosami jak u Pietrka, niby len jasnemi. Chciałby dotknąć się jej palcami, ale nie może, ma ochotę z żalu zapłakać głośno, ino jakby matka usłyszeli, wywaliliby dobrze i odciągnęli za włosy od oficyny do izby.

VI.

Jednej niedzieli zobaczył syn Małgoli coś, co olśniło chłopca, patrzył, przymrużał i otwierał znów oczy, jakby go słońce raziło.

Tadzio założył szeroką, czerwoną taśmę z żółtemi dzwoneczkami na szyję siostry, a całując ją, mówił:

— Nie gniewaj się, Marychno, jak mocniej pociągnę, bo będziesz tym niespokojnym konikiem, co to nawet Marcin nie może sobie z nim dać rady. Zaczynamy! Raz! dwa! trzy! Jazda! Niech mamusia patrzy! niech tatuś patrzy!

Pietrek przytulony do ściany oficyny, powtarza:

— Raz! dwa! trzy! jazda!

I on bawi się czasami w fornala, ale za „lejce“ ma kawałek brzydkiego powroza. Teraz ujrzawszy taśmę, nie wie zupełnie, co się z nim dzieje, nie ma już ochoty do płaczu lub śmiechu, tylko wysuwa się coraz więcej z poza oficyny i patrzy. Nie pamięta o zakazie i szturchańcach matki, o obecności dziedziców, tylko wyciąga szyję i patrzy, patrzy...

Po kilkunastu minutach biegania, Tadzio zmęczony rzuca lejce na ziemię i podbiega do mateczki po pocałunek i pieszczotę.

— Niech mię mamusia pocałuje, tak się zmęczyłem!

W tej samej chwili Pietrek rzuca się naprzód, wydaje przeraźliwy okrzyk, porywa lejce i ucieka ku czeladniej izbie. Pot kroplisty pokrywa mu czoło, a poły obdartej sukmanki i brudne wstążki olbrzymiego kapelusza wiewają na wszystkie strony; wtem zawadza bosą nogą o kamień i pada...

Tadzio spostrzega, co się stało i woła z głośnym płaczem:

— Ukradł mi lejce! ukradł mi lejce taki brudny chłopak! Niech mamusia nie pozwoli! Przecież to moje, Marychna mi przywiozła.

Zwabiona hałasem zjawia się Małgola z grubą linką w ręce, z której przed chwilą zdjęła suszącą się bieliznę. Od razu oryentuje się w położeniu, twarz jej z czerwonej robi się siną, a w oczach zapalają niedobre błyskawice gniewu.

— Toś ty taki, pogańczuku jeden, już teraz wyciągasz ręce po cudze! Masz! masz! masz! Bije chłopca zawzięcie powrozem, nie patrząc, gdzie uderza.

— To ja przez ciebie służbę stracę?! Idź sobie do swego tatula, takiego samego złodzieja jak i ty!

Państwo chcą ją uspokoić, ale rozszalała kobieta nie słyszy, a chłopiec wpół przytomny ze strachu, bólu i nieokreślonego uczucia, jakiego doznał na widok zabawki, nie odzywa się nawet, naraz wydaje przeraźliwy, straszny jęk...

Matka uderzyła go w oko, które w jednej chwili całe zaczerwienione, zdaje się wychodzić z orbit...

VII.

Przewidywanie felczera sprawdziło się. I doktór nie pomógł. Mały Pietrek, którego nikt nie uczył, co złe, a co dobre, nie budził myśli i duszyczki z uśpienia, za kawałek czerwonej tasiemki dał swoje modre oko...

*Gabryela Biernacka.*

## DO PRACY!

Komu życie jest igraszką,
Świat — balowych scen obrazem!
Dusza — kłamstwem, serce — fraszką,
Miłość — tylko czczym wyrazem:
Temu wolno być ślimakiem
I w zawiędłej gnić skorupie;
Ludzkość nie chce stąpać rakiem,
Bóg się brzydzi tem, co trupie.

Lecz w kim dusza bożem tchnieniem,
Niepojętym jak Bóg czarem;
Czyje serce — łez strumieniem,
Lecz miłości wiecznym żarem;
Komu świat harmonii wzorem,
Tajemniczą gwiazd rozmową,
Piorunowych pieśni chórem,
Lub piosenką róż majową;
Komu życie darem nieba,
Bryłą pereł i rubinów,
Bryłą — z której mu potrzeba
Wykuć córę Cherubinów:
Ten niech chwili nie przetrwoni
W hazardowej grze zwątpienia,
Żywej duszy nie osłoni
W samolubny kir milczenia.

Jak skowronek, bez ustanka
Niechaj wzlata pod niebiosy,
I do wspólnych myśli wianka
Coraz nowe rzuca kłosy.
Z kłosa ziarnko może zleci,
Na przyjaźnej spocznie roli,
Z wiosną rosy łzą zaświeci,
I w kwiat zmieni się powoli.
A gdy z kwiatów tych uściele
Miękkie gniazdo... na popioły —
To już umrzeć może śmielej;
Grób ogrzeją mu anioły.

*S. Równia.*

# Kronika.

I stoczył się w otchłań przeszłości wiek dziewiętnasty — otwarły się wrota wiekowi dwudziestemu. Wiek dziewiętnasty, to wiek pary, wiek elektryczności, wiek postępu i kultury — ale dla nas jest wiekiem *niewoli*. Czy ci, co po nas nastąpią i wstępować będą w wiek XXI, ie samo powiedzą o wieku XX, co my mówimy o wieku XIX? Któż to przewidzi? Któż zdoła przewidzieć, jak karta Europy, jak karta świata wyglądać będzie po 100 latach pod względem politycznym. Bodajby starczyła na to fantazya Bellamyego, który, jak wiadomo, z wielką intuicyą opisał, jakie zmiany w świecie sprawi wydoskonalenie techniki.

Nie zapuszczam się i ja w te badania, natomiast przypomnę to wszystkim przyjaciołom „Pracy", że *stary wiek* pożegnała „Praca" liczbą **13,000** abonentów.

Zachodzi więc pytanie, ilu czytelników powita „Praca" w roku nowym, u bram nowego wieku?

Już w przyszłej kronice zaspokoję ciekawość moją i czytelników. —

Mam nadzieję, że liczba abonentów „Pracy" się nie zmniejszy, lecz przeciwnie, że zastęp zwolenników i przyjaciół „Pracy" jeszcze znacznie się powiększy. — —

Kto sobie początki „Pracy" przypomni i rzuci okiem na rozwój jej, przyznać musi, że rozwój ten jest niezwykłym i zadziwiającym.

A do tego rozwoju przyczyniło się to, że „Praca" ciągle stara się o ulepszenia, że stara się dogodzić czytelnikom pod każdym względem.

Dla wydawcy tak samo, jak dla współpracowników miłem jest patrzeć na taki rozwój i na takie uznanie, dlatego ubiegły wiek, tak dla wydawcy, jak i dla współpracowników przyjemne pozostawia wspomnienia — lecz jest jedno *„ale"*.

Na to „ale" daje noworoczny numer „Pracy" obszerny rzut oka. Podam tu streszczenie:

Redakcya przypomina, że w ciągu niepełna lat 4 istnienia miała 28 procesów prasowych, z których wygrała trzy.

Redakcya wcale już nie liczy takich niespodzianek, jak rewizye lub aresztowania redaktorów odpowiedzialnych — są to rzeczy tak zwyczajne, że o nich nie warto wspominać. Nie warto też wspominać o tem, że prokuratorya pruska kilkakrotnie musiała cofnąć swe oskarżenia.

Pominąwszy już to wszystko pozostaje jeszcze pokaźna liczba 28 procesów w ciągu lat czterech, czyli że mniej-więcej 7 procesów przypadło w przeciągu na rok jeden, a blisko 2 na kwartał.

Skutkiem przegrania tych procesów było, że „Praca" zapłaciła samych kar sądowych 6235 mk., natomiast kosztów sądowych przeszło 12,000 mk., a redaktorów jej skazano na 3 lata i $1^1/_2$ miesiąca więzienia — ogółem zaś zapłaciła „Praca" blisko 30,000 mk.

Pod tym więc względem ubiegły wiek nie pozostawił miłych wspomnień ani dla wydawcy, ani dla redakcyi.

Ale dlatego jeszcze fantazyi nikt nie traci.

A jaka „przyjaźń" wywiązała się pomiędzy „Pracą" a pruską prokuratoryą, a jakie sympatye mają przyjaciele i czytelnicy „Pracy" właśnie skutkiem tych procesów tak dla prokuratora pruskiego jak i dla wszystkiego co pruskie, tego nikt opowiedzieć, ani dostatecznie opisać nie potrafi!

Wydaje mi się, że więcej to warte niż 6235 mk. *kar* i 12,000 mk. *kosztów*, oraz 3 lata więzienia i $1^1/_2$ miesiąca do tego, co razem czyni blizko 30,000 mk. kosztów.

Bo każdy z czytelników wie, że procesy te wytaczano „Pracy" za *słowa prawdy* — nie potrzebujemy dodawać — komu wypowiadane.

Stwierdzam jednak fakt, że te procesy pod pewnym względem nie miłe pozostawiły wspomnienia i dla wydawcy i dla redakcyi.

Ileż to bowiem razy starano się przyskrzynić przedewszystkiem samego wydawcę — a jak nabito na wydawcę, to już zawsze skazaniem na karę więzienia. Można więc sobie wystawić nieprzyjemne uczucia, jakie miewał wydawca, skoro się dowiedział, że prokuratorya tym razem zagięła parol na niego. Jedną pociechę miał wydawca, cieszący się zresztą silnemi nerwami, że on sam wychodził z tych opresyi wolno — a pismu po każdym procesie, przybywało setkami abonentów.

To też było pociechą tym wszystkim odpowiedzialnym redaktorom, którzy skazywani byli na kary pieniężne i więzienne, że oni stali się niejako pośrednikami oświaty polskiej, ponieważ każdy wyrok na nich ferowany zachęcał setki obywateli do abonowania „Pracy". Takie przypomnienia i rozwagi nasunęły mi się na wstępie do nowego wieku.

Nie wiem teraz tylko, czy życzyć, aby prokuratorya pruska nadal tak czule opiekowała się „Pracą", czy też, aby ją wreszcie wypuściła z swej opieki. Liczba abonentów powinna była pruską prokuratoryą przekonać, że jej opieka nie osięga zamierzonego celu, lecz wprost odwrotny.

Oto ukochany pupil prokuratoryi pruskiej, nasza „Praca", urosła pod czułą opieką znacznie, bo z 1500 abonentów doszła do 13,000. — „Discite moniti!"

*Acer.*

## Zima.

Chociaż w kosztowne futro się obleczesz,
Zimie złośnicy zgoła nie ucieczesz:
Mróz cię dopadnie, a szczypie, a kole,
Mimo sobole.

Z jej to przyczyny, rodzaj białogłowski
Szpetnie czerwone uszki ma i noski,
Jako ten, który (zmilknij, muzo płocha!)
W trunku się kocha.

W tych utrapieniach wyglądamy tedy,
Jakoby właśnie jakie Samojedy,
Kto jedno żywie, pomrukując z cicha,
Do pieca wzdycha.

Za owe troski jakaż wam nagroda?
I gadać o tem i napisać szkoda,
Z teatrów, zabaw wart niucha tabaki
Zysk ladajaki.

Mężowskie mieszki zima wypatrosza,
Zima i ojców oskubuje z grosza:
Kwili podwika, że jej trzeba szatek —
Składaj podatek.

Wiosenko wdzięczna! kędyż się podziewasz?
Przecz postponujesz, przecz się na nas gniewasz?
Przybądź specyale, i broń nas co prędzej
Od onej jędzy!

Okrutna zimo! Błagamy-ć z lamentem:
Ludzkiego rodu nie zamróź ze szczętem!
Toż dość nas mrożą srogie w tem tu mieście
Serca niewieście...

*Or-ot.*

# *Do Czytelników.*

*Przyszły numer „Pracy" poświęcimy prawie wyłącznie Henrykowi Sienkiewiczowi.*

*Następujący zaś numer „Pracy" poświęcimy specyalnie sprawom naszej emigracyi, osiadłej w Niemczech.*

*Złożą się na ten numer wyborowe artykuły naszych współpracowników, jako też interesujące listy korespondentów naszych z Berlina, Hamburga, Duisburga i t. d. Oprócz tego w osobnym artykule omówione będą częściowe wyniki rozpoczętej przez nas ankiety między towarzystwami na obczyźnie.*

*Niestety jednak, zaledwie kilkadziesiąt towarzystw raczyło wypełnić i odesłać nadesłany im arkusz z zapytaniami. Wobec tego niepodobna urobić sobie ogólnego poglądu o stanie naszego wychodźtwa.*

*Wzywamy zatem te towarzystwa, które otrzymały arkusze z zapytaniami, aby takowe niezwłocznie do naszej redakcyi lub wprost do Dra Rakowskiego odesłały. Z prośbą tą zwracamy się mianowicie do towarzystw następujących:*

*W Annen, Altenessen, Alstaden, Altona, Altenbochum, Ahlsdorf, Aplerbeg, Altendorf, Altenderne, Borbeck, Buer, Barop, Braubauerschaft, Bottrop, Bickern, Bremen, Bankau, Bochum, Beeck, Bruckhausen, Buhnke, Bladenhorst, Barmen, Brunswik, Boyer, Bruch, Camen, Cottenburg, Drezno, Danndorf, Dortmund, Derne, Dellwig, Eving, Essen, Eickel, Gelsenkirchen, Gerresheim, Grumme,*

*Günningfeld, Harburg, Helbra, Horsthausen Hamme, Körl, Kolonia n. R., Katernberg, Kalkberge, Linden, Langendreer, Mühlheim n. R., Mengede, Obermartloch, Remscheid, Styrum, Schonnebeck, Schoeneberg, Thale b. Harz, Velten, Wrocław (z wyjątkiem pol.-katol. Towarzystwa, które nadesłało), Weissensee, Wattenscheid, Werne, Wiemelhausen, Wanne.*

*Mamy nadzieję, że wszystkie te towarzystwa opieszałe niebawem odeszlą arkusze z pytaniami i że nie będziemy potrzebowali wymieniać je tu po nazwisku.*

*Przecież powinni szan. prezesi tych towarzystw zważyć, że jeśli na same listy autor ankiety ponosi wydatek poważny i czas swój poświęca, aby tylko sprawę naszych wychodźców oświetlić wszechstronnie, a prawdziwie, to obowiązkiem dobrze myślących rodaków jest prace tego rodzaju ułatwiać. Każdy czytelnik „Pracy" z wyżej wymienionych miejscowości powinien niezwłocznie przypomnieć prezesom lub sekretarzom towarzystw, aby formularz wypełnili i wysłali.*

*Chcąc wywiązać się z obietnicy, danej czytelnikom w przeszłym kwartale, nie chcemy dłużej zwlekać z wydaniem numeru poświęconego sprawom wychodźtwa, ponieważ jednak tyle towarzystw opieszałych nie dostarczyło nam arkuszów, (formularzy statystycznych) zatem uzupełniające artykuły pomieszczać będziemy stale co pewien czas, w miarę nadpływania materyału.*

*Redakcya.*

## Wiadomości.

**Za nadesłane** nam bardzo liczne noworoczne życzenia z całej Polski i z obczyzny składamy najserdeczniejsze dzięki.

**Z powodu świąt i trudności technicznych numer poświęcony jubileuszowi Henryka Sienkiewicza wydamy w przyszłym tygodniu.**

**Każdy nowy abonent otrzyma tak numer niniejszy, jak też bogato illustrowany i obfity w treść numer Sienkiewiczowski, oraz piękny numer noworoczny bezpłatnie i franko, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit abonamentowy. Prosimy o najspieszniejsze odnowienie przedpłaty, gdyż znaczny zapas powyżej wzmiankowanych numerów wobec wielkiego przypływu nowych abonentów wkrótce się wyczerpie.**

**Szanownych Korespondentów** naszych przepraszamy, że z powodu nawału materyału nie możemy zamieścić wszystkich ich korespondencyi — powoli jednak przyjdą wszystkie do druku.

**Na odbudowanie** wieży Jasnogórskiej złożyli w dalszym ciągu: Imci ksiądz Sucharski z Pogorzeli pod Koźminem 5 mk. 60 fen., zebrane na weselu u p. Jareckiego w Pogorzeli, Leon Michalak z dominium Barcin 1 mk. 5 fen. R. U. z Berlina 1 mk.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 308 marek. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

**Na fundusz** jubileuszowy Chociszewskiego nadesłało już po zamknięciu składki na ten cel w nr. 49-ym Kółko śpiewackie z Morzewa (powiat Chodzieski) 6 mk. 40 fen.

Razem złożono na cel powyższy 169 mk. 98 f.

**Sumę tę odesłaliśmy Komitetowi jubileuszowemu, a składek na cel powyższy już więcej przyjmować nie będziemy.**

**Na restauracyą** kościoła w Janówcu złożyła w dalszym ciągu pani R. U. z Berlina 3 mk. Dotąd zebraliśmy na ten cel 6 mk.

Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

**Mogilno.** Folwark Mięcierzyn z przynależytościami i oberzą w powiecie Żnińskim, który w zeszłym miesiącu kupił p. Józef Stark z Mogilna od p. Alberta Weidemanna już p. Stark rozparcelował cały. Nabywców jest 21 i wszyscy już objęli kupione parcele.

**Rozdzień** (Górny Slązk). Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" urządziło w dzień Nowego Roku na sali p. Reicha z wielkiem powodzeniem wieczorek, połączony z gwiazdką. Program był urozmaicony śpiewami, monologami i t. p.

### *Zmarli.*

**Gniezno.** Dnia 23 go z. m. i r. odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku naszego współobywatela śp. Zbigniewa Swięcickiego. Jak wielką była miłość i serdeczność, jaka nieboszczyka otaczała, świadczyły owe zastępy mieszkańców naszego miasta, które ostatnią posługę zmarłemu oddały. Wszystkie warstwy naszego społeczeństwa, wszystkie stany, wszystkie narodowości towarzyszyły konduktowi żałobnemu, który prowadził proboszcz kościoła św. Trójcy, czcigodny ksiądz Piotrowicz w otoczeniu dziewięciu miejscowych i zamiejscowych księży na cmentarz św. Piotra. Trumna i mogiła ginęły pod kwiatami i wieńcami, które ręka przyjaciół i znajomych złożyła jako ostatni dar drogiemu mężowi, ojcu, bratu, przyjacielowi i towarzyszowi. Teraz tam przy kościele św. Piotra w cieniu drzew zasypia snem wiecznym śp. Zbigniew, dopóki odgłos trąby archanielskiej nie zbudzi go na ostateczny sąd Boży. Niech mu tedy ta ziemia, którą tak bardzo ukochał, lekką będzie, a duszę jego niech Bóg do Swych wiecznych przybytków domieścić raczy.

Zmarły człowiecze, z Tobą się żegnamy!
Przyjmij dar smutny, który Ci składamy:
Trochę na grób Twój porzuconej gliny
Od Twych przyjaciół, sąsiadów, rodziny.

Jaką sympatyą cieszył się zmarły, dowodzi już ten sam fakt, że całe obywatelstwo miasta Gniezna i okolicy bez różnicy wyznania towarzyszyło za trumną, a Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup nadesłał stroskanej rodzinie wyrazy współczucia, to samo ks. Sołtysiński z Szubina, ks. Piotrowicz z Kłecka i t. d.

Cześć zmarłemu! Niech spoczywa w pokoju!

*Do dzisiajszego numeru dołączamy karty pocztowe z portretem Józefa Chociszewskiego (patrz artykuły o nim) z uprzejmą prośbą, aby je Szanowni Czytelnicy zużyć zechcieli w celu zjednania nam nowych abonentów przez rozesłanie tych kart pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych. Ponieważ za każdą kartę dołączoną płacimy poczcie 1 fenyg, przeto kto dołączonej karty nie wyśle do znajomego, ale ją zniszczy, ten nas krzywdzi, a jest to dla nas krzywda już znaczna, gdyż całe wydawnictwo „Pracy" oparte jest właśnie na tych paru fenygach. Prosimy też tych kart nie przysyłać do nas, jak to często bywa, tylko do kupca, krewnego lub znajomego, gdyż tylko w tym celu owe karty dołączamy. Prosimy raz jeszcze usilnie nie zniszczyć karty, ale wysłać takową znajomemu.*

*Ustawiczne śledztwa i procesy wyrządzają nam prócz wielkich cierpień fizycznych i moralnych za kratami więzienia wielkie szkody materyalne, wobec czego Czytelników, Przyjaciół i Zwolenników naszych prosimy, aby zechcieli zjednywać nam liczne nowe zastępy przedpłacicieli tak na „Pracę" jako też na „Czytelnię Polską."*

*Prosimy o rozpowszechnianie „Pracy" i „Czytelni Polskiej" wszędzie, przy każdej sposobności i na każdym kroku, gdyż tylko w ten sposób możemy dać godną i należytą odprawę „naszym najserdeczniejszym," którzyby nas chcieli zmieść z oblicza ziemi.*

## Od Redakcyi.

*Panu F. Bal. w Wąbrzeźnie (Pr. Zach.)* „Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje". — „Wszędzie dobrze, w domu najlepiej".

*Interesenci*, pragnący założyć kuśnierstwo na prowincyi niech się zgłoszą po informacye do p. P. Jezierskiego w Pleszewie, p. J. Gomułki w Siernikach pod Rogoźnem, p. L. Durczykiewicza w Czempiniu, p. Mielcarkiewicza w Suchorzewku pod Ruskiem, p. Józefa Starka (J. Stark jun.) w Mogilnie.

*Interesent*, pragnący założyć handel mebli na prowincyi niech się zgłosi po informacye do p. Józefa Starka w Mogilnie (J. Stark jun.)

*Interesent*, pragnący założyć na prowincyi skład kapeluszy, niech się zgłosi po informacye do p. Bronisława Sadowskiego (zakład zegarmistrzowski) w Krotoszynie.

*Panu Domagalskiemu w Krakowie.* O powodach powiększenia prenumeraty na „Pracę" pisaliśmy po dwakroć w ostatnich numerach.

*Panu Eliaszowi.* Otrzymaliśmy list — ale bez korespondencyi, o której w liście mowa. Czyżby zaginęła w drodze?

P. *Mieczysława Garsteckiego z Magdeburga* prosimy o nadesłanie korespondencyi o tamtejszych Polakach i podanie swego adresu

*Braliński.* Dr. Rakowski prosi Pana uprzejmie o Polakach w Paderbornie i o stosunkach duchownych. Pamięta Pański list pisany w lecie i nie wątpi, że Pan zechce mu wiadomości dostarczyć, adres: Lwów, Pełczyńska 1.

*Szanownym Towarzystwom polskim* wypełniającym formularze statystyczne zwracamy uwagę, że *zarządy tych towarzystw mogą zupełnie jawnie zbierać informacye i odczytywać formularze statystyczne na swych zebraniach choćby i dozorowanych przez policyę* i za to

nikt ich do żadnej odpowiedzialności pociągnąć nie może.

Prosimy, aby zbieranie odpowiedzi odbywało się na zebraniach i *aby przewodniczący lub sekretarze opierali odpowiedzi co do pochodzenia członków z Poznańskiego, Prus i t. d. nie na swych przypuszczeniach, lecz na zliczeniu członków.* W żadnym razie nie należy odnośnych rubryk zostawiać bez wypełnienia.

*Panu de la Grange w Grudziądzu.* — Za łaskawe bezinteresowne nadesłanie nam całego rocznika „Pracy“ z roku ubiegłego najuprzejmiej dziękujemy. Sędziwemu weteranowi — ofiarodawcy — staruszkowi 85-letniemu, gorliwemu zwolennikowi i Czytelnikowi naszego Tygodnika — za noworoczne życzenia zasyłamy starcpolskie „Bog zapłać!“ i śiemy Mu na tej drodze najserdeczniejsze życzenia noworoczne. Niech żyje przy czerstwem zdrowiu jeszcze jak najdłużej i niech się doczeka zwycięztwa naszej sprawiedliwej, dobrej i uczciwej sprawy!

*Panu W. Garst. w Magdeburgu.* W księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.

*Panu Hieronimowi R. w Przemyśle (Galicya).* Ów artykuł dotąd nie był w „Pracy“ drukowany.

*Pan J. Żm. w Wągrówcu.* W tej branży wszędzie jest konkurencya z żydami.

**☞ Abonentów, otrzymujących „Pracę“ pod opaską, prosimy o odwrotne nadesłanie preaumeraty, gdyż w przeciwnym razie już im następnego numeru (2-go) nie wyślemy.**

# HUMORYSTYKA.

## Plotka.

Gorsza stokroć od choroby,
Sród miejskiego żyje błotka,
Napastując dzisiaj ludzi,
Plotka.
Niech się drobny fakt wydarzy,
Wnet zeń, niby nitkę z motka,
Snuje w długiej opowieści
Plotka.
Niechaj „ona“ wyjdzie z domu
I po drodze „jego“ spotka —
Wnet przeróżne głosi brednie
Plotka.
I nietylko dziś z ust do ust
Pędzi na kształt kołowrotka,
Po gazetach też się tuła
Plotka.
Tak się wszędzie ona szerzy,
Sród miejskiego żyje błotka,
Napastując dzisiaj ludzi —
Plotka.



***Czyżby omyłka.***

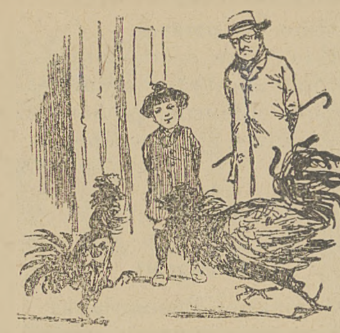
— Powinszuj mi, zostałem nagrodzony medalem.

— Osobiście?

— Nie, za bydło.

— To się omylili.

### Spółczucie przyszłego smakosza.



— Jakbym ja chciał, żeby ten mały kogut zadziobał dużego...

— Skądże ci się w serduszku wzięło takie piękne współczucie dla małych, więc słabych?

— Bo dużym kogutem wszyscy się najemy, a małego to zje sam tata.

* * *

## *Lekarstwo.*

Aby graczów nałogowych
Dziś wyleczyć z manii owej,
Pomysł arcyznakomity
Dzisiaj przyszedł mi do głowy.

By patrzyli na świat szerzej
I nie mieli w głowie wiatru,
Trzeba dzisiaj ich przywiązać
Jak najmocniej do teatru.

By zaś sztuk tam wystawianych
Zwać nie chcieli stekiem bredni,
Dla tych graczów trza ułożyć
Repertuar odpowiedni.

Że w pomysły ma zasobna
Głowa, jak w naboje, flinta,
Więc ich naprzód zaprowadzić
Radzę tu na „Partyę winta.“

By zaś mieli coś dobrego
Jeszcze przytem i na wety,
Można dobrać do tej sztuki
Jeszcze i „Partyę pikiety!“

Że muzyka na umysły
Ludzkie działa bardzo zdrowo,
Można także do programu
Włączyć też „Damę pikową.“

To już coraz łatwiej idzie,
Bo rzecz przednia, choć nienowa,
Sama prawie się naprasza
Druga znów „Dama treflowa.“

Aby wreszcie wszystkie damy
W jednę zamknąć już raz ramę,
Można treść baletem przepleść
I dać im „Kierową damę.“

Gdy to wszystko nie pomoże,
Wtedy rada moja szczera,
By spróbować jeszcze i dać
Te „Trzydzieści lat szulera.“

Wtedy pewno się nawrócą
I porzucą wstrętne karty —
Cnym teatrem się zajmując
Z gorliwością nie na żarty!... *R.*

### Bardzo łatwo.

*Adwokat.* Racz pan przyjąć pod uwagę, iż sprawa pańska jest bardzo skomplikowana, że występować będę przeciw najznakomitszemu naszemu adwokatowi...

*Klient.* Ach, panie mecenasie, doprawdy nie wiem, czem ja się panu odwdzięczę...

*Adwokat.* No, cóż znowu? Z chwilą, gdy zaczęły kursować pieniądze, zadanie to jest bardzo ułatwione...

## Bajeczka.

— Jaka ta kurka poczciwa, kochana,
Pieściłabym ją od nocy do rana!
Moja śliczna, złota,
Moja pieszczota!
Tak wiejska gospodyni
Przemawiała do kurki młodej,
Co dzień w dzień dochód czyni,
Znosząc jajka.
A dobre to dochody!
(Cóż dalej mówi bajka?)
Kura dumna, wciąż dmie się
I — jajka niesie.
Aż wreszcie rzecz dziwna się stała,
Nieść je przestała.
Minął czas złoty —
Ustały pieszczoty —
I kurkę pod nóż wzięto
W najbliższe święto.
A sens? spytacie. Oto
Powiem z ochotą:
Kochamy, co nam potrzebne na razie,
A gdy potrzeba znika,
Nie żałujemy nożyka —
I to, cośmy w ekstazie
Podnosili w niebiosy,
Niszczymy srogimi ciosy!

*H.*

### Utytułowany.

— Patrz, jak ten Gryzmolski dumnie się nosi...

— Ha — nic dziwnego, objął stanowisko w prasie.

— Jakie?

— Został sprawozdawcą z baletu poznańskiego w dwóch gazetach.



### Niedoszły pojedynek.

— Przychodzę zapytać pana, czy to prawda, że pan powiedział, że ja szachruję w karty?...

— No, to co?

— To pan będziesz się bił ze mną.

— Z panem bić się nie mogę, ale obić pana mogę!!!

### *Przyczyna do rozwodu.*

— Proszę wielmożnego księdza proboszcza dobrodzieja, ja z Jagatą mieszkać nimogę i psysedem prosić o kościelne nas rozwiedzenie...

— Jakto? dopieroś przed adwentem wziął ślub. Maszże jaki ważny punkt do rozwodu?

— A ino.

— Namyśl się jeszcze dobrze, może się jeszcze zgodzicie, powód do rozwodu musi być ważny.

— Proszę księdza proboszcza, ja się na to nie zgodzę... za nic...

— Cóż, ona chora?...

— E, bogać tam chora, owsem zdrowiuteńka.

— Nie posłuszna ci, czy co?...

— Ani to, ino...

— Może ją kto obałamucił i uciekła od ciebie.

— A tobym ją sproł i tyla.

— Więc cóż takiego?... Mów...

— A no, proszę wielmożnego proboszcza, pierzynę ma tak krótką, że do ena gołe po kolana mam nogi, a tu zima i bez to ino ciągiem mam zmartwienie...

### *Szczyt ambicyi.*

Choćby ktoś był tak garbaty, jak żebro olbrzyma,
Sprostują się jego gnaty, gdy złotko otrzyma.

*

### Dziwna sprawiedliwość.

Jeżeli swą rękę służąca poparzy,
Natychmiast ją ludzie zowią niedorajdą;
Gdy się jasnej pannie to samo wydarzy,
Wtenczas wszyscy winę w ogniu tylko znajdą.

*

### *W sądzie.*

— Świadek Głuptasiński od jak dawna zna oskarżonego?

— Prawie od dziecinnych lat, proszę pana sędziego.

— Świadek nie słyszał, czy oskarżonemu zdarzało się kiedy zakłócać spokój publiczny?

— Owszem, bardzo często... kiedy był trębaczem w orkiestrze teatralnej.

### Parasol.

Są rodziny (myśl ta boli)
Podobne do parasoli:
Gładkie, hoże, uśmiechnięte,
Gdy ich „pręty“ rozsunięte;
Smutne, chmurne, pomarszczone,
Gdy takowe zjednoczone...

*St. W.*

### *Owszem.*

Do pięknej Poznanianki
Przyszedł filantrop zrana:
„Kochana pani — wyrzekł —
Bieda ach! niesłychana,
Niema odzieży, butów,
Nawet kawałka chleba...
Kochana pani! pomyśl:
Zrobić coś dla nich trzeba!...“
Spojrzała Poznanianka,
Potarłszy włosy złote,
I rzekła: „Doskonale!
Potańczyć mam ochotę...“

. . . . . . . . . . . . .

Znów balów będzie kilka
I sutej moc reklamy:
Miast dobyć grosz z woreczka...
Poskaczą nasze damy!

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

### W teatrze na prowincyi.

— Dzwonek! góra!...

— Dyrektorze, czekaj! Sypalski urżnął się jak bela — nie może grać starego Moora!...

— Zapowiedz mu, że nie dostanie à conto, jak nie wytrzeźwieje!

— Nic nie pomogę, co czynić? wszyscy mężczyźni grają...

— Wal pan do Flirtalskiej, niech się ubiera — nie będzie Moora, tylko Moorowa — wszystko jedno!

W restauracyi.

— Czy jadasz kiedy tutaj?

— Owszem... czasem...

— A co tu jest naj lepszego?

— Hm... ceny!...

# Centralna Drogerya J. Czepczyński

**Poznań, Stary Rynek Nr. 8.**

Hurtownie i detalicznie. — Telefon Nr. 238.

poleca po znanych tanich cenach w doborowych gatunkach.

Mydło i wszelkie artykuły do prania.
Świece wiedeńskie, kandelabrowe i powozowe.
Herbaty chińskie funt po 1.40, 2.00, 2.50, 3,00 4.00, 5.00 i 6.00 Mr.
Prósze herbaciane funt po 1.40, 1.60 i 2.00.
Czekolady i Kakao Sucharda, Van Houtena, Sobczyka etc.
Oliwę prowandzką.
Essencye octowe i cytrynowe Elba.
Sok malinowy i wiśniowy.

Arak, koniak.
Essencye do wódek wszelkich, za 2,15 ma się $2^1/_4$ litra dobrej wódki.
Ekstrakt mięsny Liebiga.
Migdały, szafran, wanilią.
Perfumy, pudry i mydła toaletowe krajowe i zagraniczne w wielkim wyborze.
Dentipuryna Dr. Koszutskiego.
Szczoteczki do zębów, włosów i paznokci.
Gębki toaletowe i do powozów.

**Zamówienia po nad 10 Marek wysełam franco pocztą lub też koleją odwrotnie.**

## Specyalność: Farby i lakiery na posadzki. 118

*Mydła i artykuły do prania i oświetlania.*

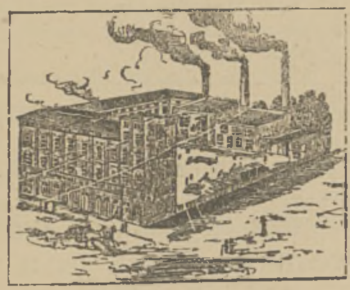



Najlepszy środek na włosy! Javol nadaje włosom zupełną piękność, czyni je miękkiemi jak jedwab, nadzwyczaj bujnemi i falistemi. 806

Wskutek swoich szczególnych przymiotów utrzymuje naturalny kolor włosów do sędziwego wieku i zapobiega siwiźnie. Cena flaszki 2 mk. Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych parfumeryach, drogeryach, także w wielu aptekach

Do nabycia w Koźminie, w aptece p. Balcerka i w drogeryi I. F. Grochowski Nast.

# Wielka fabryka wódek
# B. Kasprowicza
## w Gnieźnie



Ogólny widok fabryki.

poleca prawdziwe swe wyroby, zdobywające sławę światową, oprócz w bardzo licznych odnośnych handlach i lokalach, w Poznaniu u nastep. firm w oryginalnych butelkach:

**E. Adamski**, Wrocławska ulica.
**W. Becker**, róg Teatralnej.
**Emil Brumme**, róg Wodnej.
**A. Cichowicz**, Berlińska ulica.
**Herm. Dannerau**, św. Marcin.
**B. Glabisz**, św. Marcin.
**E. Hyżewicz**, Podgórna ul.
**J. Jaworski**, Ogrodowa 11.
**A. Kozłowski**, św. Marcin.
**J. N. Leitgeber**, Wodna ulica, róg W. Garbar.
**J. Langner**, św. Wojciech.
**T. Lewandowski**, Wielkie Garbary 51.
**F. W. Meyer i Sp.** plac Wilhelmowski.
**J. N. Pawłowski**, Wodna ulica 7.
**A. Pfitzner**, Stary Rynek.
**T. Siewicz**, Ogrodowa 1.
**J. Smyczyński**, św. Marcin.
**Leon Szczawiński**, Bazar.
**St. Ziętkiewicz**, ul. Wilhelmowska.
**A. Wybieralski**, Chwaliszewo. 629
**W. Brykczyński**, Wilda.
**L. Kauss**, **B. Tilgner** — św. Łazarz.
**K. Wendland**, Jerzyce.

**Filia w Hamburgu, Schleusenbrücke 8 (Schleusenhof)**

*Bulion wołyński*
*i Polski dominialny*
**Herbaty Ruskie,**
Porter Angielski,
*Sardynki w oliwie,*
Groszki, Szabelki,
szparagi, kompoty i marmolady
poleca 639
*hurtownie i detalicznie*

## J. Smyczyński,
**Śt. Marcin 27.**



**Instrumenta muzyczne**
wszelkiego rodzaju
z pierwszej ręki
z fabryki
**Herm. Oskar Otto**
**Markneukirchen Nr. 610**
Wielki wybór.
Główny katalog illustrowany gratis i franko. 621

# Za bezcen!
## Elementarz Polski Poznański,

t. zw. z Aniołkiem, 80 str. 43 illustr. opr. 30 fen. Najlepszy, najtańszy, najwięcej rozpowszechniony. **Chociszewski.** Czarodziejska lampa 25 f., opr. 40 f. — Humorysta polski, 16 ryc. 50 fen. — Koszałki opałki 40 fen. — Powieści i podania 18 ryc. 80 f., opr. 1,20 m. — Przemówienia przy wesołach i chrzcinach 50 f. — Róże i Niezapominajki (dla kochających i narzeczonych) 75 f. — Wesoły czarodziej, 12 ryc. 40 f. — Złota książeczka dla dzieci o IV przykazaniu, 8 ryc. 1 m., kart. 1,25, opr. 1,60. — **Chwalibor,** Ofiara żmudzina z 1831 r. 60 f. — **Dziryt,** Michałko, 5 ryc. 35 f., opr. 50 f. — Na bruku. — Z poddasze, ozd. opr. 1,60 m. — Na Jasnej Górze, pow. z XVII w. 5 ryc. 1,20, kart. 1,5,0 opr. 1,60 m. — Okruch, 30 pow. i wiersz. 25 ryc. 1,20, kart. 1.60, opr. 1,80 m. — U kolan babuni. 7 ryc. 80 fen., kart. 1,20, opr. 1,40 m. — **Józef,** młody jeniec tatarski, 30 f., opr. 40 f. — **Kabała** cz. sztuka wróżenia kropkami 15 f. — **Mieczysław,** Ofiara z krwi polskiej w obronie chrześciaństwa 40 f. opr. 55 f. poleca za odebraniem należytości, obszerne katalogi darmo i franko 652

## A. Cybulski, Księgarnia, Poznań.

# Na reumatyzm!

**Premiowane 1894 i 1895 r.**
nacieranie Dr. Koszutskiego

# Salus

znane od 35 lat jako jedyne i niezawodne lekarstwo na reumatyzm, boleści reumatyczno-nerwowe, bolesność w krzyżach po połogu i t. p.

Butelka 50 fen. i 1 mk. we wszystkich aptekach i fabryce wyrobów hygienicznych, Półwiejska nr. 1, I. — Zważać na znaczek ochronny. 647

# Spółka Stolarska
## w Swarzędzu

poleca swój 411
**wielki**
# magazyn mebli

z dobrego materyału i własnego wyrobu.

**Ceny przystępne.**
**Usługa skora.**
**Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.**

Donoszę uprzejmie, że w **Poznaniu, przy Nowym Rynku No, 4.** (narożnik ul. Slusarskiej), otworzyłem pod nazwą:

*Restauracya „Landy,"*

Restauracyą połączoną z winiarnią i piwiarnią.

Moim PP. Gościom zapewniam smaczne potrawy i wyborne napoje 751

Proszę o łaskawe poparcie

Leonard Konopiński.

# Dla czego wahać się jeszcze?




kiedy mój **fabrykat** w Paryżu 1900 premiowany złotym medalem i dyplomem honorowym. 732

Tenże daje najlepszy dowód za dobroć i skuteczność mego sławnego na cały świat środka na porost wąsów **„Kommelin."** Za skutek w kilku tygodniach ręczę. Cena puszki: w sile I 2 mk., w sile II 3 mk., w najniekorzystniejszym razie w sile III 5 mk.

Żadne oszustwo, jak następujące uznanie:

Pan R. Gräschel w Reichenberg pisze nam pod dniem 26 sierpnia 1900: „Jestem w tem miłem położeniu, iż mogę Panu donieść, że Pański **„Kommelin"** osiągnął u mnie doskonały skutek. za co składam Panu serdeczne podziękowanie. Fryzer mój jest skutkiem środka Pańskiego wprost zdumiony i prosi o przysłanie puszki w sile III."

Jedynie prawdziwy sprowadzić można od **Roberta Husberg, Neuenrade Nr. 30** (Westfalia).

W razie bezskuteczności zwracam pieniądze. 732

## Okoliczność łagodząca.

*Sędzia.* Obwiniony jesteś o chęć wykolejenia pociągu... co masz do powiedzenia na swoją obronę?

*Obwiniony.* Panie sędzio, w pociągu znajdowała się moja teściowa...

# Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

*Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift*

## „PRACA“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

**für 1,25 Mark.**

*(Imię i nazwisko):* ........................................

*(Mieszkanie):* ........................................

*Obige 1,25 Mark erhalten zu haben bescheinigt*

........................................, *den* ........................................

*Kaiserl. Post* ........................................

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem tylko 1,25 mk. oddać na poczcie.

*Unterzeichneter bestellt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen ercheinende Wochenschrift*

## „PRACA“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

**für 1,25 M.**

*(Imię i nazwisko):* ........................................

*(Mieszkanie):* ........................................

*Obige 1,25 Mark erhalten zu haben bescheinigt*

........................................, *den* ........................................

*Kaiserl. Post* ........................................

Powyższą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem 60 fenyg. posłać na pocztę.

*Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift*

## CZYTELNIA POLSKA

Abtheilung II t. poln. 14.

**für 60 Pfennige.**

*(Imię i nazwisko):* ........................................

*(Mieszkanie):* ........................................

*Obige 0,60 Mark erhalten zu haben bescheinigt*

........................................, *den* ........................................

*Kaiserl. Post* ........................................

Prosimy odciąć.

# Centralna Drogerya J. Czepczyński

**Poznań, Stary Rynek Nr. 8.**

Hurtownie i detalicznie. — Telefon Nr. 238.

poleca po znanych tanich cenach w doborowych gatunkach:

*Oliwę do maszyn,*
*Tłuszcz Tevota,*
*Tłuszcz przeciw spadaniu pasów,*
*Dwusiarczyk wapna,*
*Sodę angielską i kalcynowaną,*
*Konopie do maszyn,*
*Szczotki i pendzle do gorzelni,*
*Tran, tój i wszelkie smarowidła na skóry,*
*Petroleum amerykańskie.*

*Farby, pokosty, lakiery krajowe i angielskie.*
*Linie malarskie,*
*Szablony w wielkim wyborze,*
*Pendzle i szczotki malarskie,*
*Kleje, Szelak,*
*Okowitę do politury,*
*Olej do ślifowania,*
*Kit do okien.* 117

Zamówienia po nad 10 marek wysełam franco pocztą lub też koleją odwrotnie.

**Specyalność: Farby i lakiery na posadzki.**

**Mydła i artykuły do prania i oświetlania.**

---

***Bu'ion wołyński i Polski dominialny***
**Herbaty Ruskie,**
Porter Angielski,
***Sardynki w oliwie,***
**Groszki, Szabelki,**
**szparagi, kompoty i marmolady**
poleca 639
***hurtownie i detalicznie***

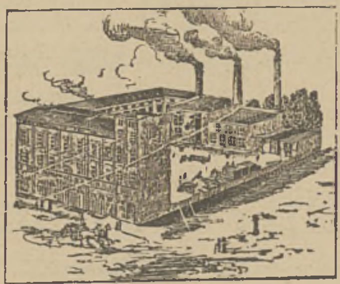
## J. Smyczyński,
**Śt. Marcin 27.**

---



**Instrumenta muzyczne**
wszelkiego rodzaju
z pierwszej ręki
z fabryki
**Herm. Oskar Otto**
**Markneukirchen Nr. 610**
Wielki wybór.
Główny katalog illustrowany gratis i franko. 621

---



Ogólny widok fabryki.

# Wielka fabryka wódek
# B. Kasprowicza
## w Gnieźnie

poleca prawdziwe swe wyroby, zdobywające sławę światową, oprócz w bardzo licznych odnośnych handlach i lokalach, w Poznaniu u następ. firm w oryginalnych butelkach:

**E. Adamski,** Wrocławska ulica.
**W. Becker,** róg Teatralnej
**Emil Brumme,** róg Wodnej.
**A. Cichowicz.** Berlińska ulica.
**Herm. Dan erau,** św. Marcin.
**B. Glabisz,** św. Marcin.
**E. Hyżewicz,** Podgórna ul.
**J. Jaworski** Ogrodowa 11.
**A. Kozłowski,** św. Marcin.
**J. N. Leitgeber,** Wodna ulica, róg W. Garbar.
**J. Langner,** św. Wojciech.
**T. Lewandowski,** Wielkie Garbary 51.
**F. W. Meyer i Sp.** plac Wilhelmowski.
**J. N. Pawłowski,** Wodna ulica 7.
**A. Pfitzner,** Stary Rynek.
**T. Siewicz,** Ogrodowa 1.
**J. Smyczyński,** św. Marcin.
**Leon Szczawiński,** Bazar.
**St. Ziętkiewicz,** ul. Wilhelmowska.
**A. Wybieralski,** Chwaliszewo. 629
**W. Bryłczyński,** Wilda.
**L. Kauss** } św. Łazarz.
**B. Tilgner** }
**K. Wendland,** Jerzyce.

**Filia w Hamburgu, Schleusenbrücke 8 (Schleusenhof)**

---

## Spółka szewska
**w Poznaniu,** 681
St. Rynek nr. 3, przy Ratuszu.
**Skład i warsztat wszelkiego obuwia**
po niezwykle nizkich cenach.
**Wszelkie zamówienia** oraz **reparacye** wykonuje się w krótkim czasie.
Usługa skora i rzetelna.

---

**Wieczory pod lipą,** czyli historya Narodu Polskiego p. Siemieńskiego wyd. X-te z ilustrac. Kossaka, Tondosa, Stachowicza ect. Cena w oprawie kart. 2 marki.

Polecamy gorąco tę od 30 lat z górą ulubioną hist. pol. prawdziwie patryot. napisana. 779

**Galerya królów Polskich** 39 portretów (w całej figurze) z herbami województw rys. prof. Tondosa, odznaczona na paryskiej i warsz. wystawie wielkim złotym medalem) na kartonie 63+93 ctm. cena 2 m. 40 fen. Do nabycia w odn. księgarniach. Na składzie w Poznaniu: w księgarni Polskiej Templowicza.

---

Donoszę uprzejmie, że
w **Poznaniu, przy Nowym Rynku No, 4.**
(narożnik ul. Slusarskiej), otworzyłem pod nazwą:

***Restauracya „Landy,"***

Restauracyą połączoną z winiarnią i piwiarnią.
Moim PP. Gościom zapewniam smaczne potrawy i wyborne napoje 751
Proszę o łaskawe poparcie
Leonard Konopiński.

---

# Na reumatyzm!
**Premiowane 1894 i 1895 r.**
nacieranie Dr. Koszutskiego
# Salus

znane od 35 lat jako jedyne i niezawodne lekarstwo na reumatyzm, boleści reumatyczno-nerwowe, bolesność w krzyżach po połogu i. t. p.

Butelka 50 fen. i 1 mk. we wszystkich aptekach i fabryce wyrobów hygienicznych, **Półwiejska nr. 1, I.** — Zważać na znaczek ochronny. 647

---

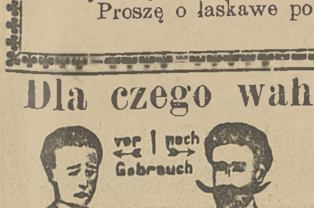
# C. Ogiński
**dentysta.**

Przyjmuję w dnie powszednie od 9—1 i od 3—6. W niedzielę i święta zamknięte.

**Św. Marcin nr. 68,** 736
I piętro wprost Piekar.

---

## Dla czego wahać się jeszcze?




kiedy mój **fabrykat** w Paryżu 1900 premiowany złotym medalem i dyplomem honorowym. 732

Tenże daje **najlepszy dowód za dobroć i skuteczność** mego sławnego na cały świat środka na porost wąsów **„Kommelin."** Za skutek w kilku tygodniach ręczę. Cena puszki: w sile I 2 mk., w sile II 3 mk., w najmekorzystniejszym razie w sile III 5 mk.

Żadne oszustwo, jak następujące uznanie:

Pan R. Gräschel w Reichenberg pisze nam pod dniem 26 sierpnia 1900: „Jestem w tem miłem położeniu, iż mogę Panu donieść, że Pański **„Kommelin"** osiągnął u mnie doskonały skutek za co składam Panu serdeczne podziękowanie. Fryzyer mój jest skutkiem środka Pańskiego wprost zdumiony i prosi o przysłanie puszki w sile III."

Jedynie prawdziwy sprowadzić można od **Roberta Husberg, Neuenrade Nr. 30** (Westfalii).

W razie bezskuteczności zwracam pieniądze. 732

---

# Spółka Stolarska
## w Swarzędzu
poleca swój 411
**wielki**
# magazyn mebli
z dobrego materyału i własnego wyrobu.
**Ceny przystępne.**
**Usługa skora.**
**Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki**

---

# W Mogilnie

jest od 1 kwietnia 1901 r. pod korzystnemi warunkami do sprzedania lub też do wymiany na majątek ziemski albo też do wydzierżawienia 763

# restauracya

z wielką nowo wybudowaną salą ze sceną, kręgielnią, 4 morgi wielkim parkiem, zarazem z wielkim, dwupiętrowym, nowo wybudowanym domem mieszkalnym z przynależytościami.

Łaskawe oferty uprasza się do ekspedycyi „Pracy" pod lit. **B. N. nr. 763.**

**Od depozytów składanych do naszej** 679

# Kasy Oszczędności

**podwyższyliśmy** procent i płacimy obecnie:

| | |
|---|---|
| **za natychmiastowem wypowiedzeniem** | **4%** |
| **„ kwartalnem „** | **4½%** |
| **„ półrocznem „** | **5%** |
| **„ rocznem „** | **wedle ugody.** |

Procenta obliczamy od dnia wpłaty.

Przy przesyłce pieniędzy prosimy wyraźnie oznaczyć, za jakiem wypowiedzeniem depozyt ma być zapisany.

Również polecamy do nabycia pierwszomiejscowe

**5-cio procentowe hipoteki,**

które cedujemy z gwarancyą za kapitał i procenta. Dla wygody nabywców hipotek płacimy procent wprost naprzód w półrocznych ratach.

Spółka nasza **kupuje na własność majątki ziemskie i gospodarstwa,** **parceluje** takowe na rachunek właściciela lub własny (wpłaty na kupione parcele bardzo umiarkowane) dalej pośredniczy w sprzedaży i kupnie majątków ziemskich.

**Spółka Rolników Parcelacyjna Poznań, Podgórna 10 a. part.**

---

# Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od

**28,000 marek.**

**Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek**

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach. 316

**John Fowler & Co., Magdeburg.**

---

**By osięgnąć obrót wielki, dla tego sprzedaję taniej, niż niejedne fabryki.**

**Hurtownie!** Cennik, blizko 500 illustracyi, wysełam darmo i franko. **Detalicznie!**

**Fachowy dom wysyłkowy i warsztat reparacyjny.**

396

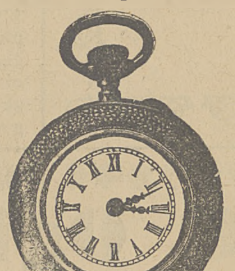
## M. DANECKI,

**Miejska Górka (Görchen Prov. Posen).**

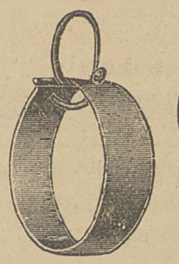
Za każdy zegarek daję na **5 lat** piśmienną gwarancyą. Dowodem taniej i rzetelnej sprzedaży są liczne zamówienia, uznania i podziękowania, jakie codziennie nawet z najdalszych stron odbieram. Wymiana dozwolona. Zegarki moje można też nabyć w składzie p. **Romana Tilgnera** w Pleszewie (Pleschen)



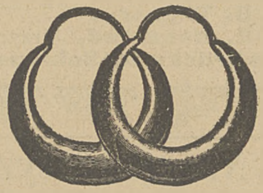
Srebrny męzki remont. cyl., złocone wskazówki i brzegi, silny w srebrze i werku na 6 kam., 9 m. Znacznie lepszy 10,25 mr. Niklowy zegarek mr. 5,50.



Złoty 8 karat. damski zegareczek już po 15,00 mk, Zupełnie ten sam jak podany 22 mk. Srebrny damski 11 mk.



Kolczyki modne płaskie kreole, złote, 333 stemp. 8 karat. 9 marek za parę.



Kolczyki złote 9 marek. 8 karat. 333 stempel



Kolczyki złote 14 karat. 585 stempel za parę 5,00 mr.

**Ryzyka nie ma żadnego,** bo to coby się podobać nie miało, lub nieodpowiednie było chętnie na inne wymieniam a na życzenie pieniądze zwracam.

---

Szanownej Publiczności miasta i okolicy niniejszem uprzejmie donoszę, że dotychczasową Spółkę budowlaną pod firmą

**„Walczak i Talarczyk“**

po rozwiązaniu się tejże nadal prowadzić będę na własny rachunek.

Kilkoletnia praktyka i znajomość fachu daje rękojmię, że sprostać mogę wszelkim wymaganiom. Proszę nadal o łaskawe poparcie.

Z wysokim szacunkiem 13

**Antoni Walczak,**

*Żnin.*

---

**Kalendarz**

**Przewodnika katolickiego**

*na rok Pański*

**1901**

ozdobiony licznemi rycinami **znacznie powiększony.**

**Cena 50 fen. z przesyłką 60 fen.**

poleca 11

**księgarnia św. Wojciecha**

**Poznań,** (Posen)

*św. Marcin No. 69.*

---

**Dla średnich i mniejszych gospodarstw**

polecają swoje wyroby, jak **młockarnie i maneże, sieczkarnie** konne i ręczne, **wialnie, siekacze** do buraków, **grabie** do siana, **pompy** podwórzowe i ozdobne, **centryfugi** do mleka, **wszelkie części do maszyn** po nader przystępnych cenach. 433

**Pleszewska fabryka maszyn**

**W. Jezierski i Sp.**

Reperacye maszyn tanio i trwale. Cenniki na żądanie gratis i franko. Sprzedaż za gotówkę i na raty.

---

# Dobry zarobek.

*Kamienicka fabryka maszyn do pończoch robienia w Kamienicy „Chemnitz i/Sa.“ Zschopauerstr. 60.* poleca **maszyny** do robienia pończoch, szkarpet, gamaszy, kolanków, rękawiczek, sukienuek, spódników, majtek, jaczek i t d. przedewszystkiem najlepszej konstrukcyi po tanich cenach fabrycznych. 8

**Zastępca: L. Małolepszy,**

**Pleszew.**

---

**Darmo**

daje recepty do fabrykacyi sztucznych win! 14

## A. Szmytkowski

**Pniewy (Pinne, Pr. Posen).**

**Destylacya i fabryka likierów**

poleca po nizkich cenach

**Jubileuszówkę**

wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux złotym medalem, oraz wszelkie inne wyroby moje, jako to znakomite

**nalewki, wódki gdańskie, żołądkowe, alpejską,**

także prawdziwe

**araki, rumy i francuzkie koniaki.**

---

## Spółka Stolarska

**Telefon 1093 Poznań, Grobla 4 Telefon 1093**

przesyła na życzenie franko i odwrotnie

**illustrowany** 783

**album mebli.**

---

# Skład piwa,

połączony z fabryką wody selterskiej w mieście, liczącem 12,000 mieszkańców w Prusach Zachodnich, ze stałą klientelą, wła ne zastępstwo na piwa zagraniczne, obrót roczny w piwie wynosi 50—60,000 marek, sprzedaż wody selterskiej wynosi rocznie 100—120.000 flaszek — dobra okolica — jest

**na sprzedaż**

natychmiast pod korzystnemi warunkami z powodu innych przedsiębiorstw. Do przejęcia interesu potrzeba 5—6,000 marek. Oferty przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. *F. Z. Nr. 6.*